

gazel cwinla

NR 10(30)/2013
ISSN 2084-6932



Ambasador

012



004

OD REDAKTORA

Jolanta Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

Jak uchronić dziecko (...)

Agnieszka Czapczyńska

012

BEZKRESY

Sakartwelo znaczy Gruzja

Joanna Dudek-Ławecka

026

NA PAPIERZE

Nie taka całkiem bajka

Kasia Bartsch-Cielebon

040



032

CHOPIN WIECZNIE ŻYWY

Chopin w ruskiej ambasadzie

Piotr Mysłakowski

038

OPOWIADANIE KONKURSOWE

Skomplikowane życie

Lavern

040

Czas na Czas dla Nas

042

WYWIAD

Rodzinny galimatias z używkami w tle

Kasia Bożyk

048



047

NA ZDROWIE

Lody bez lodów

048

GUZIK

Ambasadorzy marki

Klaudia Ofiara

052

ZAKŁADKA

Skrawki, ścinki i błyskotki

Historia jednego notesu

Agata Wiśniewska

062



054

BAJKI NOWE

Sonet ognisty
Anna Błachucka

056

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XXII
Kasia Bartsch-Cielebon

062

MYŚLI Z ŻYCIA

Ambasador
Anna Ciemniecka

066

Dokąd odeszli dawni bogowie
Adrian Pogorzelski
Leszek Marek Krześniak

078



074

ŻAK

Dyplomacja milczenia
Paweł Radzko

076

SZORT MAT

Jak daleko jest do gwiazd?
Michał Lewandowski

078

BABEL

MY TRAVELS
Jerusalem. The Earth was Shaken
part II
MOJE PODRÓŻE
Jerozolima. Zatrzęsła się ziemia
część II
Agnieszka Thomassen

Wydawca
Plstacja Media
Katarzyna Bogucka

Stowarzyszenie Pi-stacja
biuro@pistacjamedia.com
biuro@pi-stacja.org
www.pi-stacja.org
www.gazetownia.eu

Biuro reklamy
marketing@pistacjamedia.com

Zespół Redakcyjny
Katarzyna Bogucka
Joanna Dudek- Ławecka
Joanna Wroczyńska
Jolanta Wroczyńska

Foto
Katarzyna Bogucka
Waldemar Ławecki
Marek Pływaczyk
Artur Radzko
Agnieszka Thomassen

Ilustracje
Aleksander Bogucki (pingwin)
Mintoft (logo Chopin)
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład
Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna
Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.
Copyright Plstacja Media 2013



Od redaktora

Określenie „ambasador” brzmi dumnie jedynie w odniesieniu do przedstawiciela państwa, kraju i kultury, którą uosabia i którą pragnie zainteresować innych. Jednak dzisiaj, przy pomocy mediów, znaczenie ambasadora, podobnie jak innych autorytetów, po prostu spowszedniało. Teraz ambasadorami nazywa się przedstawicieli marki w biznesie, twórców wydarzeń kulturalnych czy świetnych sportowców, będących ambasadorami własnych sponsorów, a w dziedzinie mody można zostać nie tylko ambasadorem trendu jesieni, ale nawet twarzą rajstop. Ambasador to czy celebryta?

W numerze wspominamy prawdziwego ambasadora ludzkości – Dalajlamę, zwiedzamy Gruzję z podróżnikami z „Bezkresów”, słuchamy opowieści archeologów o magicznych mocach odkopanych na Mazowszu, dowiadujemy się dlaczego Chopin nie odwiedził w Paryżu ruskiej ambasady, radzimy jak chronić nastolatków przed używkami, a dzieci przed rozwodzącymi się rodzicami. Zapraszamy do przeczytania kolejnej pracy konkursowej! A poza tym u nas nawet Wiedźma „ambasadoruje”...

Jolanta Wroczyńska



Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi





jak uchronić
DZIECKO
przed wojną
pomiędzy
RODZICAMI?

Agnieszka Czapczyńska



Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni *Fundacji Miejsce Kobiet; Nowy Świat Kobiet*.

Żyjemy w czasach, w których wiele par małżeńskich decyduje się na rozwód. Budzi to szeroką dyskusję społeczną na temat konsekwencji rozstania rodziców dla rozwoju i funkcjonowania dzieci. Opinii jest wiele, choć większość ekspertów uważa, że to co **najbardziej utrudnia adaptację dzieci do sytuacji kryzysowej, to nie tyle sam rozwód, co kontynuowanie konfliktu pomiędzy rodzicami, a przede wszystkim angażowanie w to dziecka**. Dzieci stają się główną linią frontu wojny między byłymi partnerami. Oczywiście dzieje się to zawsze pod płaszczykiem „dla twojego dobra” oraz „muszę cię chronić”. Dzieci są wmanipulowane w konflikt poprzez różne sposoby indoktrynacji przeciw drugiemu opiekunowi. Dziecko wciągane w pułapkę lojalności z dorosłym, przeżywa poczucie winy i wstydu, które prowadzą do zachowań manipulacyjnych (np. granie na uczuciach jednego rodzica za pomocą drugiego typu „musisz mi pozwolić, bo tata się zgodził” albo „mama zawsze mi daje pieniądze na kino” itp.) lub odrzucenia jednego z rodziców i obciążania go wyłączną winą za wszelkie zło. **Włączanie dziecka przez dorosłego**

rodzica (lub obydwoje) do walki z partnerem/ką jest formą przemocy psychicznej.

Jest nadużyciem, które w bardzo podstępny sposób uniemożliwia dziecku normalny rozwój emocjonalny.

Niszczenie relacji własnego dziecka z drugim rodzicem odbywa się na wiele sposobów. Do najczęściej stosowanych należą:

- * nastawianie dziecka przeciwko matce/ojcu poprzez mówienie na jej/ jego temat krzywdzących, nieprawdziwych rzeczy np.: „matka was nie kocha, chce mnie wsadzić do więzienia, przez nią nie będziesz miał/ miała ojca”, „ojciec chciał się ciebie pozbyć” itp.
- * podważanie kompetencji byłego partnera/ki poprzez deprecjonowanie jego/jej pracy, umiejętności, zaangażowania w wychowanie: „matka zawsze gdera, nie musisz robić lekcji”, „matka nie kocha Cię, kiedy się ostatnio z tobą bawiła?”, „ojciec na niczym się nie zna”.
- * nie stawianie żadnych granic dziecku, bycie „dobrym policjantem” i zezwalanie na zachowania, które są dla dziecka atrakcyjne, choć równocześnie bardzo destrukcyjne: „możesz korzystać z internetu ile chcesz, dam ci na to pieniądze”, „możesz chodzić spać o której chcesz”, „nie musisz przejmować się szkołą”.
- * przekupywanie dziecka, poprzez dawanie mu bardzo drogich prezentów, wiedząc, że codzienność życia dziecka, utrzymywanego zwykle przez matkę bywa skromna.
- * okazjonalne traktowanie dziecka w wyjątkowy sposób, na co dzień nie wywiązywanie się z podstawowych obowiązków wobec niego (np. nie przychodzenie na umówione spotkania, na które dziecko czeka, nie wywiązywanie się z alimentów itp.).
- * wyróżnianie jednego dziecka (tego „lojalnego” wobec rodzica) w obecności pozostałych dzieci, manipulowanie uczuciami i konfliktowanie dzieci ze sobą poprzez odrzucanie jednego i faworyzowanie drugiego.
- * straszenie dzieci np. „jeśli zostaniesz z matką, zapomnij o tym, że masz ojca”.
- * uczenie dzieci nielojalności wobec drugiego rodzica poprzez

„wyciąganie” najdrobniejszych szczegółów dotyczących jej/jego życia:
„powiedz mi z kim matka się teraz spotyka, mogę chyba to wiedzieć,
przecież jestem twoim ojcem”, „czy ojciec był sam w domu, czy była
ta pani?”

- * codzienne „pranie mózgu” dziecka przez jednego z rodziców,
uczenie go bezwzględnego posłuszeństwa wobec siebie.
 - * wpajanie negatywnych przekonań na temat płci drugiego rodzica:
„niech matka posprząta, przecież jest od tego”, „kobiety nie myślą
logicznie”, „mężczyźni są zawsze agresywni”.
 - * obciążanie byłego partnera/kę pełną odpowiedzialnością za rozpad
związku: „zostawił nas”, za trudne kontakty „nic nie chce ze mną
ustalić”, za złą sytuację finansową „nie przysyła pieniędzy na czas”.
 - * wmanipulowanie dziecka w rolę mediatora, namawianie, by załatwiło
coś z drugim rodzicem: „ty zadzwoń do ojca i poproś go, bo mnie nie
posłucha”, „powiedz matce, żeby się ze mną spotkała”.
 - * umawianie się na coś (np. wspólne wakacje) z dzieckiem, a dopiero
potem informowanie o swoich planach dorosłego (co stawia drugiego
rodzica często w roli tego złego, który nie zgadza się i odmawia).
 - * nakłanianie dziecka, by myślało w negatywny sposób o drugim
rodzicu: „widzisz jak mama/tata się zachowuje, nie kocha cię”.
 - * podkreślanie swoich negatywnych uczuć wobec byłego partnera/ki,
mówienie: „zobacz jak cierpię przez nią/niego”, „to zły człowiek”.
 - * utrudnianie spotkania z drugim rodzicem lub organizowanie czasu
w ten sposób, że jest to trudne.
 - * krytyczne wypowiadanie się na temat osoby drugiego rodzica, jego
bliskich, decyzji życiowych: „nigdy nic nie umie załatwić na czas”,
„jak zawsze pakuje się w kłopoty”, „we wszystkim słucha się mamusi”.
- I wiele, wiele innych zachowań... Kiedy dziecko jest małe po prostu
cierpi, kiedy dorasta zaczyna rozumieć sytuację, w której się znalazło
i zdarza się, że ogranicza, a nawet zrywa kontakty z rodzicem, który
traktował je instrumentalnie. Taka bywa cena za poczucie chwilowej
przewagi nad byłym partnerem/ką.
- Co zrobić w sytuacji, w której mówienie dziecku trudnych rzeczy
o drugim nie jest manipulacją lecz po prostu ujawnianiem faktów?
Bywa, że jeden z rodziców rzeczywiście spowodował rozpad

małżeństwa, nie płaci alimentów, ma nierozwiązany problem alkoholowy lub jest emocjonalnie nie zrównoważony. Nie należy tego ukrywać, choć wymaga to dużej uważności, aby pozostawić dziecku przestrzeń na własną perspektywę. Ten sam dylemat dotyczy sytuacji, w których widzimy realne, krzywdzące zachowanie drugiego rodzica wobec dziecka. Zwracajmy uwagę na takie sytuacje, przeciwstawiamy się im wprost w kontaktach z drugim rodzicem, wymagajmy by przestrzegał ustalonych reguł, **mówmy jednak o faktach, a nie o naszych uczuciach czy interpretacjach** np. „Nie zgadzam się, żeby tata pozwalał ci opuszczać lekcje” zamiast „Tata ma wszystko w nosie i nic go nie obchodzi twoja przyszłość” itp. Pozwala to dziecku powoli budować własny obraz rodziców. Niestety, są też sytuacje, w których zwracanie uwagi nie jest wystarczające. Dotyczy to przemocy wobec dziecka. Potrzebna jest wtedy bezwzględna ochrona, a jeśli to niezbędne przy użyciu narzędzi prawnych. Żadnemu dziecku nie służy kontakt z dorosłym, który je krzywdzi – nawet jeśli to tata czy mama...

AC



FUNDACJA NOWY ŚWIAT KOBIEC

NA NOWEJ ŚCIEŻCE ŻYCIA

**WARSZTATY
EDUKACYJNO - ROZWOJOWE
DLA matek**

Program przeznaczony jest dla kobiet, które borykają się z emocjonalnymi skutkami przemocy i pragną rozwijać pozytywną relację z dzieckiem

**FUNDACJA NOWY ŚWIAT KOBIEC,
UL. GAŁCZYŃSKIEGO 3 m.12**

ZAPRASZA NA

**4 WEEKENDOWE SPOTKANIA WARSZTATOWE:
5-6, 26-27 PAŹDZIERNIKA, 23-24 LISTOPADA
ORAZ 14-15 GRUDNIA 2013
W GODZINACH 10.00-18.00**

Podczas warsztatów uczestniczki dowiedzą się m.in. jak odbudować poczucie własnej wartości, stawiać zdrowe granice w relacjach z innymi, jak przekraczać trudne emocje związane z doświadczoną przemocą i szukać wzorców budowania relacji opartych na szacunku i jak wspierać własne dzieci.

Prowadząca:

Agnieszka Czapczyńska – psychoterapeutka, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, arteterapeutka, specjalistka w zakresie pomocy ofiarom przemocy w rodzinie. Rozmowy kwalifikujące po uprzednim ustaleniu telefonicznym **606 406 555** lub mailowym: czapczynska@nowyswiatkobiet.pl.

UCZESTNICTWO W WARSZTATACH BEZPŁATNE

Program finansowany ze środków
Urzędu m.st. Warszawy Dzielnicy Śródmieście

Projekt finansuje m.st. Warszawa



SAKARTWELO ZNACZY GRUZJA

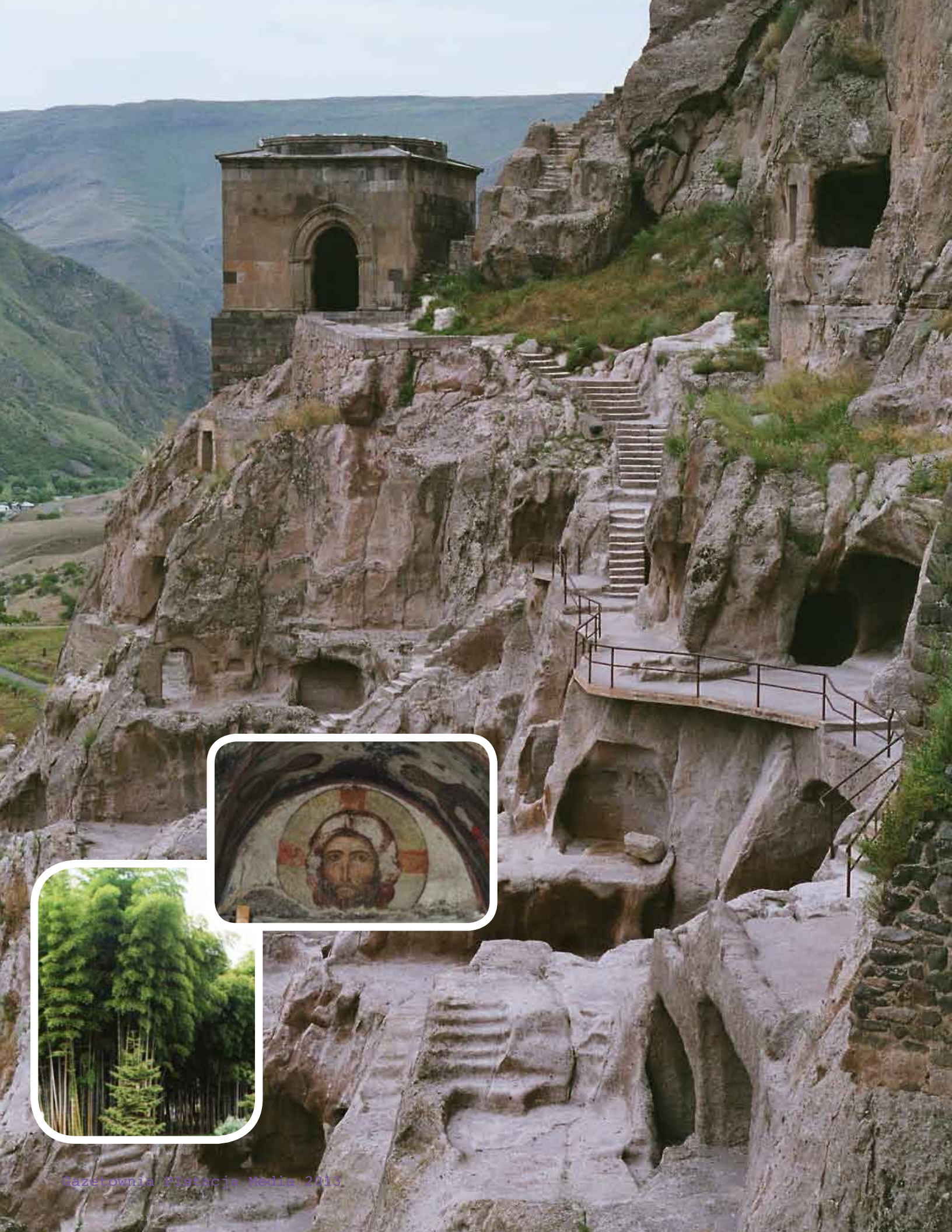
Joanna Dudek-Ławecka





Podróż

Do Kolchidy przybyliśmy jak Jazon – drogą morską. Podróż do tej starożytnej krainy, jak przystało na tak odległą w czasie i przestrzeni – trwała bardzo długo. Pierwszy etap obyliśmy pociągiem relacji Warszawa-Odessa. Po całym dniu i nocy w czteroosobowych przedziałach około południa dotarliśmy do celu. Między Odessą a Poti nie pływają statki wycieczkowe, tylko promy, na których najważniejsze są przewożące towary, tiry i pociągi, ale dla pasażerów oprócz restauracji i baru przewidziano także basen, saunę i salę sportową ze stołem do ping-ponga i przyrządami rodem z siłowni. Podróż morską zajęła nam trzy doby. Monotonny widok uprzyjemniały delfiny, które często pojawiały się w bliskiej odległości od statku oraz zarysy Krymu. Poczuliśmy co znaczyło zobaczyć ląd dla żeglarzy pływających wiele dni po morzu. Długa podróż niosła w sobie jednak obietnicę prawdziwej przygody. W ostatnim dniu wypatrywaliśmy od rana Poti. Kiedy



w końcu je zobaczyliśmy, byliśmy szczęśliwi, a jednocześnie trochę przerażeni widokiem. Port sprawiał ponure wrażenie, z oddali straszyły typowe osiągnięcia budowlane z epoki Związku Radzieckiego. Socjalistyczne szaro-bure miasto. Trudno było w nim doszukać się starożytnego Fasis. Wysieliliśmy na ląd i pierwsze zaskoczenie: bujna, kolorowa, nie pasująca do zdobyczy socjalizmu roślinność poprawiała nam humor.

Jechaliśmy do pierwszej miejscowości na nocleg, po drodze obserwując krowy, które nie reagowały zupełnie na przejeżdżające samochody i ani o milimetr nie raczyły przesunąć się z drogi. Wszyscy miejscowi kierowcy omijali je slalomem. Drugą ciekawostką były biegające luzem świnie o bardzo różnym ubarwieniu, niektóre ubrane w drewniane chomąta. Przewodniczka wyjaśniła nam, że świnie w Gruzji nie są trzymane w chlewach i właściwie są samowystarczalne. Żyjąc na wolności mieszają się często z dzikami, tworząc wielobarwne krzyżówki. Gospodarze jakimś cudem wiedzą, która świnia jest czyja i zabezpieczają je przed wchodzeniem w szkodę właśnie za pomocą owych dziwnych konstrukcji drewnianych. Na takich obserwacjach minęła nam podróż do Urieki. Miejscowość ta dopiero w przyszłości ma szansę stać się popularnym kurortem, gdyż jej atutem są plaże – czarne, może niezbyt miłe dla oka, ale za to z magnetytowym piaskiem o wielorakich właściwościach leczniczych.

Kraj Kartlów

Gruzini nazywają swój kraj Sakartwelo, co oznacza ziemię należącą do Kartlów. Nazwę Kartlia noszą dwa regiony Gruzji – Kartlia Wewnętrzna z Gori i antycznym miastem Uplisciche i Kartlia Dolna z najważniejszymi miejscami dla państwa i narodu – Mcchceta, starożytną stolicą i oczywiście Tbilisi, dzisiejszą stolicą państwa. Oprócz Kartli, Gruzja to szereg małych regionów o swojej specyfice i historii. To również przysparzające wielorakich problemów Abchazja i Osetia Południowa, które prędzej czy później za pomocą Rosji oderwą się od Gruzji.

Gruzja jest krajem chrześcijańskim, prawosławnym, ale będąc otoczoną przez narody muzułmańskie część jej mieszkańców w ciągu wieków ulegała wpływom muzułmańskim. Adżaria, nadmorski region ze słynnym Batumi, bywa nazywana Gruzją muzułmańską. Podbity już w XVI wieku przez Turków region uległ islamizacji. Z kolei wysokogórska Swanecja, mimo że przyjęła oficjalnie chrześcijaństwo, narzucone zresztą w mało pokojowy sposób, jak twierdzą Gruzini, wierna pozostała niektórym obrzędom pogańskim. Ta mozaika kultur i religii w połączeniu z różnorodnością przyrodniczą i architektoniczną powoduje, że każdy właściwie region Gruzji ma coś ciekawego do zaoferowania turystom. Gruzja jest niewielka, ale za to bardzo urozmaicona: ciepłe morze Czarne, wysokie góry Kaukazu, Nizina Kolchidzka, wiele malowniczych zakątków, piękne widoki i bujna

roślinność. Państwowość zaczęła się tu kształtować bardzo wcześnie, a zabytki sięgają kilkunastu wieków przed naszą erą. To kraj, który jako drugi w świecie przyjął chrzest. Wiele pamiątek wpisanych zostało na listę światowego dziedzictwa UNESCO ze względu na znaczenie w historii naszego kontynentu. Bo Gruzja mimo że leży na styku Europy i Azji jest miejscem, gdzie rodziła się cywilizacja europejska. Potrzeba dużo czasu, żeby zwiedzić wszystko, co jest tu interesujące. Po kilku dniach tak przyzwyczailiśmy się do tego bogactwa, że przestaliśmy zwracać uwagę na liczne „nowe” zabytki naszej ery.

Imeretia

Podróż po Gruzji rozpoczęliśmy od Imeretii – regionu, który odegrał ważną rolę w dziejach, gdyż jego władcy przyczynili się do zjednoczenia Gruzji. Pamiątką po królewskich czasach są liczne wspaniałe zabytki architektury, a najważniejsze mieszczą się w stolicy regionu Kutaisi i wokół niej. Uważane za najstarsze w Gruzji miasto leży nad rzeką Rioni. Znane było już w drugiej połowie VIII w., kiedy stało się stolicą potężnej wówczas Abchazji. Za króla Bagrata III, który zjednoczył ziemie gruzińskie miasto to od X w. do 1122 r. było stolicą zjednoczonej Gruzji. W I połowie XIII w. zdobyte zostało przez Mongołów, od XV w. było stolicą Imeretii, a w 1801 r. znalazło się w granicach Rosji.



Zjednoczenie ziem przez Bagrata III zaowocowało m.in. rozkwitem architektury. W tym okresie powstała w Kutaisi katedra p.w. Zaśnięcia Matki Boskiej, zwana katedrą Bagrata, której imponujące ruiny wznoszą się na wzgórzu w zachodniej części miasta. Budowa trójnawowej świątyni zakończona została w 1003 r. Siedemset lat później, w 1691 r. zniszczona została przez Turków, do dzisiaj jednak widać potęgę i kunszt artystyczny jej budowniczych. Zachowały się fragmenty rzeźbionych kolumn, kapitele i układ. Miejsce to jako symbol wielkości zjednoczonej Gruzji w czasach radzieckich nie było objęte żadną ochroną, a wręcz starano się je zniszczyć ostatecznie. Nasza przewodniczka Marika mówiła, że prowokowano nawet tutaj różne zajścia, by miejsce święte kojarzyło się raczej z wszelkim złem tego świata. Po odzyskaniu niepodległości trochę czasu zajęło odbudowanie powagi tego miejsca. Obecnie odprawiane są tutaj nabożeństwa, a wszyscy nowożeńcy mają niepisany obowiązek odwiedzić je po ślubie. Świątynia robiła jeszcze parę lat temu dziwne wrażenie na przyjezdnym, gdyż potężne jej ściany nie były przykryte dachem. Takie było życzenie wiernych, którzy chcąc być bliżej Boga, nie wyrażali zgody na odbudowę. Długo życzenie to było respektowane, ale ostatnio świątynia pokryta została dachem, bez którego jej mury niszczały, a obiekt wpisany na listę UNESCO jest zbyt cenny, by pozwolić na jego degradację.

Tuż obok katedry wznoszą się ruiny niedostępnej niegdyś twierdzy Ukimerioni, której mury miały 20 metrów wysokości, 2 metrów grubości, a długość ich wynosiła prawie 431 m. Dziś trudno uwierzyć, że była to potężna twierdza – z zewnątrz nie widać jej dawnej wielkości, a do środka nie udało nam się wejść, gdyż poddawana restauracji była niedostępna dla turystów.

W Kutaisi wart obejrzenia jest znajdujący się niedaleko katedry Bagrata, kościół św. Jerzego z XII w., w którym zachowały się ciekawe mozaiki. W samym centrum od typowej radzieckiej zabudowy odróżnia się budynek teatru wybudowanego w czasie ostatniej wojny przez Niemców.

Około 10 km od miasta na zadrzewionym wzgórzu nad rzeką Ckalcitelą znajduje się najważniejsza atrakcja turystyczna regionu, wpisany na listę UNESCO kompleks klasztorny Gelati.

W 1106 r. król Dawid Budowniczy z myślą o wykształceniu elit umysłowych kraju rozpoczął w Gelati budowę ważnego ośrodka duchowego i naukowego, w którym mogli kształcić się również mało zamożni Gruzini. O tym jak wielka była rola powstałej przy monasterze Akademii świadczyć może to, że współcześni nazywali ją „Nową Helladą” albo „Drugimi Atenami”. Skupiała ona najwybitniejszych wówczas uczonych – teologów, filozofów i prawników. Wśród uczonych były takie sławy, jak Joane Petrici, który wprowadzał w Gruzji w latach 1105-1125 neoplatonizm. Dawidowi Budowniczemu przed śmiercią w 1125 r. nie udało się dokończyć budowy kompleksu, prace kontynuował jego syn Demetrij. Zakończono je w 1130 r.



W 1510 r. podczas najazdu Turków Gelati poniosło ogromne straty. Mnisi co prawda uratowali część ikon, ale wiele fresków i mozaiki uległy zniszczeniu, podobnie jak groby królów. Od 1923 r. na terenie monasteru mieściła się filia muzeum w Kutaisi, zaś funkcję religijną zaczął pełnić ponownie od 1988 r.

Gelati to kompleks architektoniczny, w skład którego wchodzi główna cerkiew Narodzenia Bogarodzicy, cerkiew św. Jerzego oraz cerkiew i dzwonnica św. Mikołaja. W głównej cerkwi zachowały się mozaika w ołtarzu przedstawiająca Matkę Boską z Dzieciątkiem i fresk z postacią Dawida. Są to typowe przykłady malarstwa monumentalnego Gruzji, niepodobne zupełnie do zabytków sztuki bizantyjskiej. Wyciekające pod cerkwią św. Mikołaja cudowne źródło przyciąga wielu wiernych, mających nadzieję na uzdrowienie. Atrakcją turystyczną jest płyta nagrobna Dawida Budowniczego, umiejscowiona w bramie i świadcząca o skromności króla, który życzył sobie po śmierci być deptanym przez małuczkich tego świata. Kamień, o którym tradycja mówi, że jest tak duży jak wysoki był król, świadczy też o potężnym wzroście króla. Panujący w latach 1089-1125 Dawid Budowniczy był według tradycji nie tylko wzrostu wielkiego, ale i wielkiego rozumu.

Na wysokiej skarpie nad rzeką Rioni, niedaleko Kutaisi, znajduje się klasztor świętych męczenników braci Dawida i Konstantyna Mcheidze, książąt Argwetii. Miejsce zwane Mocameta znaczy męczennicy. Małe, urokliwe monaster zbudowany został na wysokiej skale nad rzeką, do której w czasie

najazdów VIII w. króla Persji Murwana ibn Mohameta, nazywanego przez Gruzinów Głuchym, wrzuceni zostali późniejsi święci. Braci zostali skazani na śmierć, bo nie chcieli wyrzec się wiary chrześcijańskiej. Jak mówi legenda rzeka nie przyjęła ich świętych ciał i wyrzuciła na brzeg. Pochowani zostali w cerkwi Kosmy i Damiana przy monasterze Mocameta.

Kutaisi jak przystało na królewskie miasto przyjęło nas po królewsku. Nie przywykliśmy jeszcze do tak charakterystycznej gościnności gruzińskiej – ilość dań na stole nas oszołomiła, a kelnerka wносиła kolejne potrawy: bakłażany z orzechami, szaszłyki, chaczapuri... Najedzeni do syta i w dobrych humorach po imretyńskim winie pojechaliśmy do Tbilisi. Po drodze nasz kierowca Awtandył kręcił nosem na wino z Kutaisi, gdyż poczucie patriotyzmu regionalnego kazało mu chwalić wino kachetyńskie, bo to Kachetia słynie z najlepszego w całej Gruzji wina, o czym niebawiem mieliśmy się przekonać.

Tbilisi

Zanim zbudowano obecną stolicę Gruzji, głównym miastem Kartlii od III w. była Mccheta, jedno z najstarszych miast w Gruzji, wpisane na listę UNESCO. Jego pochodzenie jest związane przez tradycję z legendarnym ojcem, przodkiem gruzińskiego szczepu – Kartlosem oraz Mccheteosoem. Przez ponad 1000 lat Mccheta była stolicą gruzińskiego królestwa Iwerii, znanego w całym antycznym świecie. W pięknym miejscu, na styku dwóch rzek – Mtkwari i Aragwi w III w. pierwszy król Gruzji Parnawaz wybudował ufortyfikowany akropol na cześć Armazi, głównego kultu państwowego. Tutaj kolejny król Gruzji Mirian po kazaniach młodej kobiety Nino z Kapadocji przyjął chrześcijaństwo na początku IV w. i uznał je za religię państwową. Do dzisiaj Mccheta pozostaje głównym miejscem gruzińskiego prawosławia. Znajdująca się na terenie miasta katedra Svetichoveli z XI w. oraz na wzgórzu nieopodal Monaster Dźwari z VI w. są wspaniałym skarbem gruzińskiej architektury i historii. Obecna stolica Gruzji została założona w V w. przez króla Wachtanga Gorgasali na jednej z dróg jedwabnego szlaku. Legenda głosi, że król był rozmiłowany w polowaniach: pewnego dnia jego sokół złapał bażanta, lecz oba ptaki nagle zniknęły, a po chwili król je martwe, okazało się, że wpadły do siarkowego źródła i ugotowały się. Na pamiątkę odkrycia źródeł siarkowych, król zdecydował nazwać to miejsce Tbilisi, gdyż tbili po gruzińsku znaczy ciepły i postanowił zbudować miasto, do którego przeniósł swoją siedzibę z pobliskiej Mcchety.

Tbilisi pięknie położone nad rzeką Mtkwari, zwaną przez Rosjan Kurą, urzeka nierównością terenu. Niegdyś nad Mtkwari stał zamek królewski, obok którego w XII w. zbudowano

świątynię Metechi. Obiekty zniszczone przez Czyngis Chana zostały odbudowane, ale do dzisiaj zachowała się jedynie cerkiew, która prezentuje się malowniczo na wzgórzu nad rzeką, podobnie jak kolorowe domy na wysokiej skarpie. Obok Metechi stoi pomnik założyciela Tbilisi Wachtana Gorgasali.

Po drugiej stronie rzeki na wysokim wzgórzu zachowały się okrągłe baszty i mury twierdzy Narnikała. U jej stóp rozpościera się gęsta platanina wąskich uliczek, tajemnych przejść i zaułków. Mimo że niektóre domy są w opłakanym stanie chce się powiedzieć „niech ręka Boska broni przed jakimikolwiek remontami”. Te uliczki to klimat wschodu, to pozorny nieład, który daje poczucie swojskości. Przy meczecie zaczepiają nas miejscowi. Chcą pogadać, pytają skąd jesteśmy. Kiedy dowiadują się, że z Polski, informują że w domu naprzeciwko mieszka Polak. Fotograf, który pewnie jak my uległ urokowi tych małych uliczek. Niestety, nie ma go w domu więc nie możemy wymienić wrażeń. Idziemy dalej i trafiamy do kościoła ormiańskiego. Znowu tutaj przyjmują nas serdecznie, wypytując o wszystko i zapraszają ponownie, jeśli jeszcze kiedyś powrócimy do Tbilisi. W ciągu krótkiego pobytu byliśmy jeszcze w synagodze, kościele katolickim i w świątyniach innych obrządków. Wszędzie przyjmowano nas jeśli nie serdecznie, to przynajmniej bez niechęci. Aż trudno uwierzyć, że w innych zakątkach świata religia dzieli, że na Ukrainie czy w Rosji nie zawsze jest się miłym gościem w cerkwi prawosławnej obrządku moskiewskiego. Gruzja to przede wszystkim monastery i cerkwie. W Tbilisi również najważniejszymi zabytkami są obiekty sakralne. Obok wspomnianej już Metechi, w Tbilisi koniecznie zobaczyć trzeba katedrę Anczischati z VI w. i Sioni z VII w. Odwiedziliśmy też dumę tbilisańczyków – nową ogromną katedrę, mieszczącą się na wzgórzu, w dzielnicy zamieszkałej przez ludność ormiańską. Nie udało nam się niestety wykąpać w wodach siarkowych w którejś z łaźni. Tbilisi wymaga dużo więcej czasu. W ciągu dwóch, trzech dni na pewno nie da się poznać tego bogatego w zabytki i tak różnorodnego miasta. My poznaliśmy fragment. Byliśmy w Muzeum Narodowym, gdzie znajdują się misternie wykonane ozdoby ze złota już z V w. p.n.e. i na bazarze tak zwanych staroci, gdzie spośród kiczowatych, często robionych na antyczne można wyłowić naprawdę cenne pamiątki. Nad całym miastem góruje pomnik Matki Gruzji, która w jednej ręce trzyma kielich wina dla przyjaciół, a w drugiej miecz dla wrogów.

Tamada

Zostaliśmy przyjaciółmi Gruzji, więc dla nas było wino i dobre jedzenie. Gruzja to kraj ludzi, którzy cieszą się życiem, cieszą się sobą. Każde spotkanie przeradza się w biesiadę, gdzie jedzenia i picia jest tyle, ile nie ma w Polsce na niejednym weselu. Z takim umiłowaniem biesiady związanych jest wiele zwyczajów. Gruzini piją dużo wina,

a każdy kielich poprzedzony jest toastem wygłaszanym przez tamadę, czyli mówcę toastów. Dopóki tamada nie skończy często długiej przemowy, nie można napić się wina. Nie można zajmować się czymkolwiek innym i przerywać. Karą za np. wcześniejsze wypicie może być kolejny „karniak”, ale jest źle widziane. Toast to często jakaś całkiem długa historia zakończona zaskakującą pointą, czasem refleksyjna, czasem zabawna. Władza tamady nie ogranicza się jedynie do możliwości wygłoszenia toastu. Dopóki tamada nie pozwoli, nie wolno odejść od stołu. Gruzini choć podobni w niejednym do Polaków mają umiejętność, którą naszej nacji brakuje. Umieją pięknie śpiewać i tańczyć. Widzieliśmy spotkanie „biznesowe”, podczas którego siedzący przy stole sami panowie śpiewali piękne melodyjne pieśni. Chociaż nie rozumieliśmy słów, trafiały do nas przez swoją piękną melodię. Zamiłowanie do muzyki i tańca obserwowaliśmy również podczas pobytu w skansenie w Tbilisi, gdzie akurat odbywały się dni folkloru gruzińskiego. Poszczególne regiony prezentowały swoje pieśni i tańce, a częstokroć ludzie z tłumu podchodzili i dołączali się, wyglądając przy tym jakby na co dzień nic innego nie robili tylko ćwiczyli w zespołach folklorystycznych przed ważnymi występami. Umiarkowania w spożyciu alkoholu i umiejętności bycia ze sobą oraz wspólnej zabawy możemy uczyć się od Gruzinów.

Winem płynąca Kachetia

Podróż do tego słynnego regionu Gruzji rozpoczęliśmy od fascynującej jazdy autobusem przez okolicę, o której Gruzini mówią pustynia. Nie ma tutaj co prawda piachu, ale panuje zupełna pustka i cisza. Jechaliśmy kilkadziesiąt kilometrów drogą polną pośród wzgórz pokrytych wyschniętą trawą, podziwiając w oddali wysokie góry i różnorodne formy skalne. Dawid Garedża to jedna z największych atrakcji turystycznych Gruzji, a zarazem miejsce święte dla gruzińskiego prawosławia. W VI w. jeden z ojców – syryjski, święty Dawid z Garedży rozpoczął wraz ze swym uczniem Dodo budowę świątyni. Klasztor funkcjonuje do dzisiaj.

Droga przez Kachetię wiodła częściowo szlakiem wędrówek ojców asyryjskich. Przybyło ich tutaj dwunastu, żeby pomóc umocnić nową religię. Na dzieło kolejnego Zenona natknęliśmy się 8 km od stolicy regionu Telawi, w Ikalto. Znajduje się tutaj monaster założony przez właśnie przez Zenona w VI w., wokół którego w późniejszych wiekach Arsen z Ikalto założył wyższą szkołę – Akademię w Ikalto. Jak głosi legenda studiował i nauczał w niej najsłynniejszy gruziński poeta Szota Rustaweli.

Jedną z największych świątyń w Gruzji jest położona również niedaleko Telawi katedra w Alawerdii. Zbudowana na planie krzyża w XI w. ma wysokość 50 m. Jest to obok katedry Bagrata w Kutaisi i katedry Sweticchoweli w Mcchecie, świątynia uważana za najważniejszy zabytek, w którym zachowały się właściwości stylu tej epoki.

Niezwykle ważnym miejscem w Kachetii jest klasztor Bodbijski, gdzie wokół mogiły świętej Nino, chrzcicielki Gruzji, założono monaster. Święta Nino przybyła z Kapadocji. Mając moc uzdrawiania pomogła wyleczyć się królowej iberyjskiej Nano z jakiejś dokuczliwej choroby, czym zdobyła jej wdzięczność i sympatię i łatwo nakłoniła królową do przyjęcia chrześcijaństwa. Bardziej oporny okazał się mąż Nano, Mirian. Nawrócił się podczas polowania, kiedy to prawdopodobnie z powodu zaćmienia słońca nagle otoczył go zupełny mrok. Kiedy nie pomogły modły do jego pogańskich bogów, postanowił prosić o pomoc nowego Boga – chrześcijańskiego. Gdy tylko to uczynił, zapanowała jasność, a Mirian wkrótce przyjął chrzest. Działo się to wszystko w 330 roku. Gruzini drudzy po Ormianach przyjęli chrześcijaństwo.

Kachetia dostarcza wiele przeżyć duchowych, ale jest też miejscem, w którym można spróbować najlepszych dań i najlepszego wina. Ucztowanie rozpoczęliśmy od obiadu w małej restauracyjce tuż przy ogromnych murach niegdysiejszej twierdzy Signani. Siedzieliśmy na balkonie, przed nami rozpościerała się piękna Alazańska Dolina, a wszędzie dookoła rosły winogrona. Rozpoczęliśmy degustację win kachetyńskich – wytrawne, czerwone, wśród nich najpopularniejsze saperawi. Jak mówią Gruzini – dzień powinien zacząć się od kieliszka czaczy, a potem w ciągu dnia należy wypić przynajmniej litr wina. Zalecali jednak białe wino, które nie podnosi ciśnienia, lecz je reguluje. Stosowaliśmy się do zaleceń. Złożyliśmy też wizytę w słynnym Muzeum Cinandali, gdzie znajduje się najstarsza enoteka w Gruzji. Zaskoczeni byliśmy, że wśród najcenniejszych i najstarszych win jest tutaj miód polski z 1814 r. i trudno było nam wytłumaczyć przewodnikowi, że napój ten nie jest zrobiony z winogron.

Czacza u stóp Kazbeku

Z Tbilisi wyjechaliśmy na przejażdżkę słynną gruzińską drogą wojenną w kierunku Ananuri. W rozległej dolinie rzeki Aragwy, na której kilkanaście lat temu zrobiono tamę wodną i sztuczne, ciągnące się 10 km jezioro, leży twierdza feudalna z XVI w. Miejsce to piękne ze względu na widoki – na góry i na jezioro. Zachwyty nasz wzbudziła zwłaszcza fasada świątyni, którą zdobią wspaniałe ornamenty.

Nasza droga wiodła dalej przez wysokogórski kurort narciarski Gudauri, gdzie hotele, zwłaszcza te wysokiej klasy rosną jeden za drugim, a ceny w nich jak na polską kieszeń dość wysokie. Budują je głównie Austriacy, którzy nie boją się robić interesów w tym kraju. Trasy zjazdowe wokół kurortu są dość trudne, a przewodnik potwierdził, że jest to teren raczej dla zawodowych narciarzy. Na wyjazdy rodzinne proponował okolice Borjomi,

gdzie nie tylko jest wspaniała lecznicza woda i powietrze, ale w okolicach również niezłe ośrodki narciarskie. Jechaliśmy dalej krętymi drogami, biegnącymi po wiszących półkach skalnych lub zbudowanymi nad przepaściami mostami, aż strach ogarniał na samą myśl jak daleko jest ziemia i chyba z emocji przegapiliśmy miejsce, gdzie Azja spotyka się z Europą. Aż trudno uwierzyć, że zmieniliśmy kontynent.

Mijamy najwyższe miejsce Gruzjińskiej Drogi – Przełęcz Krzyżową – 2395 m n.p.m., podziwiając ogromne buły kalcytu, które z daleka wyglądają jak nie stopiony śnieg. Docieramy wreszcie do Kazbegi, skąd mamy się wspinać na wysokość 2150 m. Celem naszym jest Cmindia Sameba, Święta Trójca, monaster z XIV w. Gdy jednak patrzymy w górę nikt z nas nie podejmuje się tego trudu. Nasz przewodnik organizuje sprawnie wynajęcie cudu przemysłu samochodowego – „Niwy”. Wsiadamy do tych niejednokrotnie 25-letnich samochodów pełni obaw jak poradzą sobie z taką trudną drogą. Okazuje się jednak, że bez problemu. Za kilkanaście minut jesteśmy na górze. Bez uprzedniego wysiłku możemy podziwiać widoki. Niestety, z powodu mgły nie udaje nam się zobaczyć Kazbeku i Elbrusa. Wracamy na dół na piknik. Wrażenie robi chłodzący się w strumyku arbuz. Pomidory, papryka, szaszłyki i chaczapuri smakują wybornie na świeżym powietrzu. Popijamy wino i oczywiście czaczę – wódkę z winogron. Ma chyba ponad 70%. Odkazamy się wszyscy, żeby w warunkach polowych nie nabawić się rozstroju żołądka.

Gori

Chociaż nad miastem góruje piękna twierdza, podobno mało w niej zwiedzających. Wszyscy przyjeżdżają zobaczyć miejsce, gdzie urodził się Stalin, najbardziej znany Gruzin. Pomijamy twierdzę, robimy zdjęcie pomnikowi Stalina na centralnym placu Gori i zaglądamy oczywiście do muzeum. Przeraża nas ogrom tej budowli, bardziej jednak przerażająca jest opowieść przewodniczki, która wymienia daty i wydarzenia z życia najwybitniejszego przedstawiciela narodu gruzińskiego. Nie pada ani jedno słowo o jego zbrodniach, nie ma też ani jednego zdjęcia czy informacji na ten temat. Co gorsze te same informacje opowiadane są w języku angielskim grupie innych turystów, którzy przyjmą wszystko co usłyszą.

Niedaleko Gori jest Uplisciche, antyczne miasto skalne, o którym źródła historyczne podają, że pierwsze miasto było tu w XVI-XV w p.n.e. lub VI-III w p.n.e. Trudno jest to określić dokładnie. Legenda mówi, że miasto budowali niewolnicy, którzy chcieli wypracować sobie wolność. Na początku pracy otrzymywali toporek zrobiony z cennego metalu, którego koniec był zrobiony z żelaza. Kiedy niewolnik wyciął tyle skał, że zużył żelazo i dotarł do szlachetnego metalu odzyskiwał wolność i cenniejszą część toporka. Choć Uplisciche ucierpiało bardzo podczas najazdu mongolskiego w XIII w. do dzisiaj

podziwiać możemy tu i antyczny teatr, i salę tronową królowej Tamary, i pomieszczenia, w których przechowywano wino.

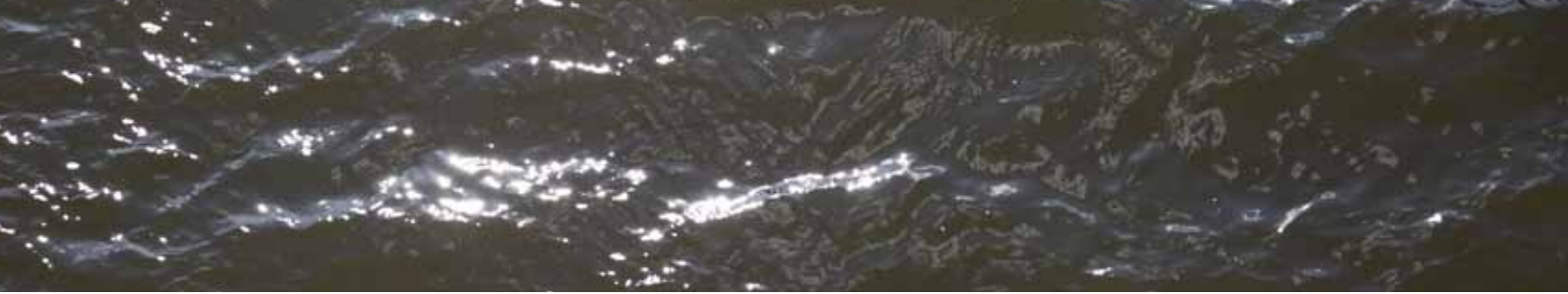
Drugim miastem skalnym, dużo młodszym od Uplisciche, ale chyba bardziej widowiskowym jest Wardzia. Robi naprawdę ogromne wrażenie. Wysokie na kilka lub kilkanaście pięter miasto z XII w., w którym znajduje się ok. 600 różnych budynków o charakterze mieszkalnym i gospodarczym. Tutaj znajdował się pałac słynnej królowej Tamary, biblioteki, łaźnie, skarbiec, świątynie i monastery. Miejsce to mogło być schronieniem dla 20 tysięcy osób naraz. W zdumienie wprowadziła nas opowieść przewodnika o działającym tu niegdyś wodociągu. Trudno było sobie wyobrazić jak w litej skale można było wykuć tunele dla całego systemu rur i doprowadzić ze znajdującego się poza miastem źródła wodę.

Batumi, ech Batumi

Niestety, nie udało nam się dokładnie poznać tego regionu Gruzji. Zatrzymaliśmy się na nocleg w jego słynnej stolicy, w Batumi. Pożegnalna kolacja była typowo gruzińską ucztą z pysznymi szaszłykami – mcwadi, chaczapuri, bakłażanami nadziewanymi pastą z orzechów włoskich. Gospodarze przygotowali dla nas niespodziankę, występ dwóch pięknie śpiewających pań. Uczyniły zadość naszej prośbie i zaśpiewały nam Suliko. Dziwiliśmy się bardzo, że do Gruzji nie dotarła tak popularna u nas piosenka Alibabek o herbacianych polach Batumi. Co do herbaty, to niestety jej produkcja upadła, miejmy nadzieję, że jest to chwilowy zastój. Sami Gruzini nie piją już gruzińskiej herbaty. Batumi, które jest pięknym, eleganckim miastem godne jest przyjazdu na dłużej. Ciepłe morze, piękne bulwary i region godny zobaczenia. Nie mieliśmy już czasu. Podróż do Kolchidy dobiegła końca. Ponownie drogą morską oddaliliśmy się od jej wybrzeża.

JDE





Nie taka całkiem bajka

Kasia Bartsch-Cielebon

W królestwie Firlandii ludziom żyło się bardzo dobrze. Nad wszystkim czuwał mądry i dobry król Remigiusz VII, przestrzegając i podpierając się istniejącą od stuleci w tym państwie konstytucją. Bardzo ją doceniał, poza jednym, jedynym, niewielkim punktem. „Po śmierci władcy tron ma objąć jego potomek”. Do tego miejsca król Remigiusz całkowicie się zgadzał z ustawą. Jego córka Aurelia była już osobą pełnoletnią i dodatkowo

bardzo mądrą dziewczyną. Wspaniale nadawała się na władcę. „Następca lub następczyni musi być osobą w pełni sprawną, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym.” I tu zgoda na postanowienie konstytucji się kończyła. Aurelia od urodzenia nie widziała, a tym samym nie miała żadnych szans na zostanie następnym władcą Firlandii. Król Remigiusz prosił, przekonywał, tłumaczył. Posunął się nawet do przekupstwa zasiadających

w sejmie przedstawiciele, dając im niezliczone przywileje. Wszystko na darmo. Odpowiadali mu, że konstytucje ustalono wiele lat temu, zawsze się sprawdzała i należy jej bezwzględnie przestrzegać. Król Remigiusz był nieszczęśliwy. Nie miał innych dzieci. Pomimo wielu starań nie doczekali się z żoną innego potomka. Wiedział, że kolejne artykuły konstytucji rozwiązują i ten problem, ale... Ale bardzo kochał swoją córkę. Wiedział, że Firlandia dostałaby po jego śmierci wspaniałego władcę, a tak los był niepewny. Dodatkowo doniesiono mu, że w granicach jego państwa pojawił się smok. I jak to smok zażądał królowny na obiad. Albo będzie niszczył plony, porywał bydło i ludzi i tak dalej i tak dalej. Królowi odechciało się żyć.

Królowna Aurelia wiedziała jak ojciec cierpi, ale nie była w stanie mu pomóc. Pomyślała, tylko, że gdyby smok ją zjadł, ojciec przynajmniej przestałby

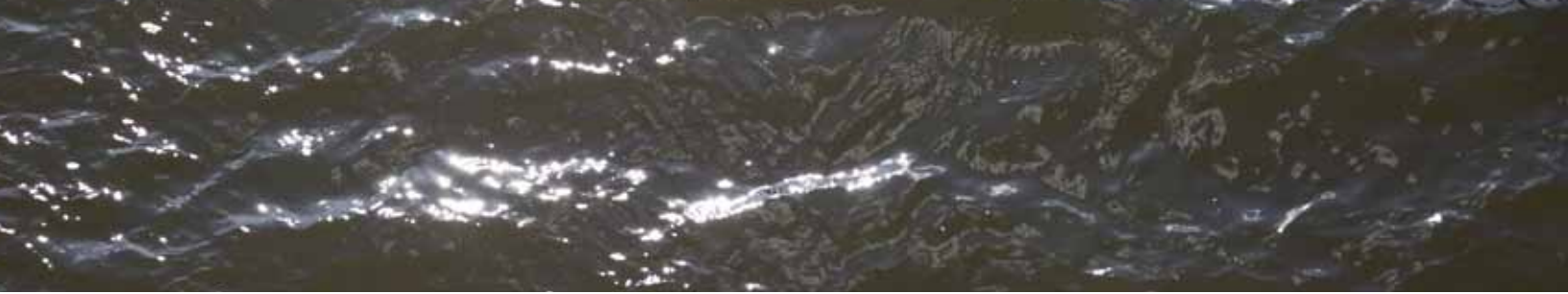
się martwić o następstwo tronu. Wtedy nie byłoby kandydatki. Smok by sobie poleciał. I nikt poza nią by nie zginął. Uczepiła się tej myśli. Poprosiła zaufanego sługę, aby zaprowadził ją do miejsca, gdzie przebywał smok. Założyła męskie ubranie i schowała włosy pod kapeluszem. Sługa przekonywał ją i błagał, aby nie szła na spotkanie z pewną śmiercią. Płakał. Ale Aurelia należała do tych niezwykle upartych młodych dam i nie dała się przekonać. Obecność smoka dziewczyna wyczuła po zapachu i drzeniu ziemi. Serce biło jej niespokojnie.

– Kim jesteś? – głos smoka przygiął ją do ziemi.

– Jestem ambasadorem króla Remigiusza VII i królowny Aurelii – powiedziała Aurelia, starając się być bardzo odważna. Chociaż nie widziała wyczuwała jednak ogrom i siłę bestii.

– Kim jesteś? Ambasadorem?

– Ambasadorem, no przedstawicielem króla i królowny – pomyślała, że może



smok nie spotkał się z takim słowem – przybyła... przybyłem, aby ustalić sposób i czas zjedzenia przez ciebie królowny – smok zaśmiał się aż korony drzew przygniotło do ziemi. Pod wpływem tego śmiechu Aurelia potoczyła się na skraj polany. Podniosła się jednak i poprawiła kapelusz, zgarniając wystające włosy. Ostrożnie, nie znając terenu, zaczęła kierować się w stronę potwora.

– Dlaczego tak dziwnie chodzisz?

– spytał zaciekawiony stwór.

– Nic nie widzę – odparła zgodnie z prawdą królowna.

– I dlatego cię tu wysłali? – pytał dalej. „Strasznie ciekawski ten smok” pomyślała Aurelia.

– W pewnym sensie tak.

– Mmmm – mruknął – i ty chcesz ustalić warunki zjedzenia królowny?

– No tak.

– Dziwne, zawsze jak pojawiał się jakiś człowiek, to albo chciał mnie zabić – Aurelia na szczęście nie widziała poniewierających się po polanie różnych części zbroi i uzbrojenia – albo

próbował mnie przekonać, że się nie powinno zjadać królowien.

Aurelia zmęczona i zdesperowana usiadła na ziemi, uważając, że prawdopodobnie znajduje się na wprost paszczy potwora.

– Dlaczego chcesz ustalać warunki zjedzenia królowny?

Nie pomyślała, że może ją o to zapytać.

– Bo... bo chcę, bo król i królowna chcą... chcą, aby...chcą, aby wszystko odbyło się elegancko – nic lepszego naprawdę nie przyszło jej do głowy – żeby nie było jakichś potknięć, że później stwierdzisz, że coś nie w porządku i zaczniesz porywać ludziom bydło i niszczyć plony, no i tak w ogóle, żeby było dobrze – rozwinęła myśl.

Brzuch smoka zaczął się trząść od powstrzymywanego śmiechu.

– Eleganckie zjadanie królowny

– wybuchnął śmiechem.

Aurelia rzuciła się na ziemię i przeczekała napad wesołości

– oj nie mogę. Eleganckie zjadanie... – śmiech smoka huczał nad głową dziewczyny kurczowo trzymającej się czegoś,

co uznała za pieniek ściętego drzewa. – Oj nie mogę. Nie mogę – wstrząsy ziemi powiedziały królownie, że smok musi czymś uderzać o ziemię – eleganckie zja...– śmiech smoka przemienił się w dyszkant – nie mogę – w końcu napad wesołości zaczął cichnąć i głęboki oddech pozwolił smokowi wrócić do przerwanej rozmowy – no dobrze, to o czym mówiliśmy – prychnął ponownie – nie, nie mogę – odetchnął głęboko jeszcze raz – no dobrze. Warunki zjedzenia królowny...

Aurelia usiadła. Doszła do wniosku, że tak naprawdę to wcale się już nie boi. No smutno jej, że będzie musiała być zjedzona, ale tak ostatecznie to chyba dobre rozwiązanie. Jak jej nie będzie, to jej tatuś już nie będzie musiał się przejmować tym, co ma dalej z nią zrobić.

– Ja mam tylko jeden warunek – powiedział nagle smok – bo reszta to wiadomo. Królowna będzie na szczycie wieży, ale otwartej z blankami, a nie tak, abym ją musiał wygrzebywać pazurem z okna, bo się

przestraszy i będzie uciekać...

– Nie przestraszy się – smutno powiedziała Aurelia.

– Mmm. No dobrze. Ale poza tym, żeby nie miała na sobie żadnych gorsetów, ani krynolin – mruknął z niesmakiem – potem takie śmieci zostają mi między zębami i muszę się z tym męczyć. Nagły podmuch i niezwykle intensywny zapach niemytych zębów doleciały do nozdrzy królowny Aurelii. Zrozumiała, że smok otworzył paszczę, aby pokazać jej spustoszenie, jakie krynoliny i gorsety wyrządziły w jego uzębieniu.

– A przepraszam, zapomniałem, że ty nie widzisz.

– Nie szkodzi, przyzwyczaiałam się – przestała udawać mężczyznę. „Pewnie i tak się zorientował w maskaradzie”. Nagle powiedziała: – jak chcesz to mogę oczyścić te twoje zęby. Chwila ciszy.

– Naprawdę mogłabyś to zrobić?

– A co? Chodzi o to, że nie widzę? Dla mnie to nie jest problem. Taka się urodziłam. Nauczyłam się tak żyć. I naprawdę wcale nie



jestem mniej sprawna od tych wszystkich widzących – dumnie odparła królowna – potrafię wiele innych rzeczy, których widzący nie potrafią.

– Na przykład? – zapytał smok.

– Na przykład ... – zastanowiła się – tak naprawdę to ciebie widzę. Tylko inaczej. Widzę, że wcale nie jesteś taki zły. Ty też się taki urodziłeś. Urodziłeś się jako smok. No i trudno.

– To jak? Dasz radę wyczyścić mi te moje zębiska? – Aurelia podniosła się – wiesz mnie to też chodziło o to, aby było elegancko – drżenie ziemi oznajmiło królownie, że smok zaraz parsknie śmiechem. Powstrzymał się jednak.

Dziewczyna kilka kolejnych godzin wyciągała dziwne resztki. Oczyszczała dziąsła i zęby stwora. Przemykało jej przez głowę, że trochę to wszystko dziwne. Może nawet obrzydliwe, ale tak naprawdę to oni oboje nie mieli wyjścia. On musiał pożreć królowną, aby żyć, ona musiała być pożarta, aby pomóc swojej rodzinie i państwu. Po jej śmierci tata znajdzie na pewno

jakiegoś mądrego następcę. No i nie będzie się już martwił. Na pewno będzie mu smutno, ale tak po prostu będzie lepiej. Potem ustalili chwilę, kiedy królowna zostanie zjedzona i królowna wróciła do zamku.

W wyznaczonym dniu Aurelia ubrana tylko w lekką tunikę udała się na szczyt otwartej wieży. Jej rodzice odchodzili od zmysłów i przekonywali ją, że to złe rozwiązanie. Ale nie dała się odwieść od zamiaru. Próbowali ją zamknąć w komnacie, ale uciekła. Dodatkowo miała poparcie całej rady państwa i parlamentu. Parlamentarzyści stali też licznie na zamkowym dziedzińcu, oczekując nadchodzących wydarzeń. Zobaczyli nadlatujący od strony słońca punkt, który się powiększał i powiększał. Smok zbliżał się z łopotem skrzydeł. Aurelia zacisnęła pięści i powieki. Tak na wszelki wypadek, jakby jednak miała coś zobaczyć w ostatniej chwili. Powietrze wokół niej zafalowało, zadrgało. Podmuchy powietrza oznajmiały jej, że nadchodzi

koniec. Tymczasem zgromadzeni na dziedzińcu zobaczyli jak smok zawisł w powietrzu na wprost dziewczyny. Potem schylił przed nią łeb, wzbił się w górę i odleciał. Aurelia, po dłuższej chwili oczekiwania na zjedzenie wreszcie rozluźniła mięśnie. Nagle w głowie pojawiła się obca myśl „Królownę znajdę wszędzie. Przyjaciela nie.”

Król Remigiusz VII całkowicie siwy zdziwił się, gdy doniesiono mu o tych wydarzeniach. Jeszcze bardziej zdziwił się, gdy powiedziano mu, że usuną z konstytucji fragment o sprawności fizycznej przyszłego kandydata na władcę, tylko po to, aby Aurelia, którą szanują smoki, mogła być jego następcą.

KBC



Chopin
w ruskiej
ambasadzie

Piotr Mysłakowski





To nie pomyłka, zaraz się okaże...

Gdy w początku listopada 1830 roku 20-letni Fryderyk Chopin opuszczał Warszawę, kierując się przez Wiedeń do Londynu, nie miał wcale w planie porzucić na zawsze domu rodzinnego, ukochanej rodziny, Warszawy, Ojczyzny... Jechał zrealizować plan artystycznej kariery: po zdobyciu sławy w dość prowincjonalnej Warszawie musiał pokazać swój talent tam, gdzie wykuwały się wszystkie wielkie, światowe nazwiska – w Wiedniu, Berlinie, Londynie i Paryżu. Zbieg okoliczności spowodował, że dojechawszy po roku do Paryża, tu pozostał na drugie 20 lat – do śmierci. Dla wyjaśnienia: starając się o paszport podał jako cel podróży „Londyn przez Paryż”, bowiem jechanie docelowo do niespokojnej, rewolucyjnej Francji nie było dobrze widziane przez carskie władze.

Nie przewidział jednak, że w trzy tygodnie po jego wyjeździe z Warszawy, wybuchnie powstanie listopadowe, które jak żadne inne w naszej historii, miało spore szanse na zwycięstwo. Świetnie wyszkolony żołnierz (nb. przez wielkiego księcia Konstantego!), spore zapasy broni i amunicji, doskonała średnia kadra oficerska, wywodząca się z epoki napoleońskiej (Legiony, Księstwo Warszawskie) – zabrakło wiary w zwycięstwo wśród kilku najwyższych dowódców, którzy nie stanęli na wysokości zadania. Po rocznej krwawej wojnie polsko-rosyjskiej powstanie upadło, a ocalałe korpusy wojsk przekroczyły granice pruską i austriacką, by kosztem rozbrojenia i wymuszonej emigracji uniknąć śmiertelnych represji Rosji. W tym czasie Chopin najpierw przeżył rok w Wiedniu, a następnie dotarł do Francji,

dokąd stopniowo także trafiła ogromna liczba polskich żołnierzy i oficerów. Wielu z nich było szkolnymi kolegami Chopina. Stanęli oni w obliczu trwałej niemożności powrotu do kraju i rozłąki z najbliższymi, gdyż zwycięska władza cara, który postanowił surowo rozprawić się z buntownikami, wydawała kolejne ukazy, nękające powstańców nawet za granicą i represjonujące pozostałe w kraju ich rodziny.

Między innymi miasto Warszawa zostało ukarane za to, że było ogniskiem Rewolucji Listopadowej i obłożone zostało karą 10 milionów (zapewne rubli), ściągniętych z Banku Polskiego „na pokrycie odszkodowań dla obywateli, którzy ucierpieli z powodu wojny 1831 r.”. Dług miasta miał zostać pokryty wraz z procentami przez jego mieszkańców, a mianowicie z podwyższonego podatku od nieruchomości. Tym sposobem jedno miasto miało ponieść karę za czyn ogólnonarodowy.

Według ukazu z 17 kwietnia 1834 r. osoby, które bezprawnie przedłużyły pierwotnie zadeklarowany okres pobytu zagranicą, bez wiarygodnego wyjaśnienia powodów tego czynu przed władzami rosyjskimi, traciły prawo powrotu, a pozostawione w kraju dobra miały zostać przejęte pod zarząd państwowy i zwrócone dopiero po śmierci właściciela jego spadkobiercom. Dopuszczalny czas pobytu zagranicą został określony: dla szlachty na pięć lat, dla pozostałych stanów – na lat trzy.

Czytelnikom pamiętającym czasy tzw. słusznie minionej epoki powinna nasunąć się tu jaskrawa analogia: gdy obywatel PRL miał zamiar wyjechać za granicę (na Zachód szczególnie), musiał złożyć w Biurze Paszportowym (czyli na milicji, czyli w służbie bezpieczeństwa) szczegółowy wniosek, określający m.in. deklarowany czas pobytu, zgodny zresztą z wymaganym „zaproszeniem” z zagranicy. Na taki czas otrzymywał (jeśli w ogóle otrzymywał!) jednorazowy paszport, który musiał oddać wkrótce po powrocie. Samowolne przedłużenie pobytu zagranicą wiązało się z nieprzyjemnymi tłumaczeniami po powrocie, zawsze powiadamiany był zakład pracy, który stosował wewnętrzne – mniej lub bardziej dokuczliwe – kary pracownicze. Zazwyczaj – dla nauczki – następne podanie było odrzucane. Karą taką objęta była także najbliższa rodzina. Dla świętego spokoju lepiej więc było nie wchodzić w kolizję z przepisami i pamiętać, co się zadeklarowało. Jak widać,



powojenni władcy Polski szeroko czerpali z doświadczeń carskiej Rosji, twórczo zresztą rozwiniętych w Rosji Radzieckiej.

W Warszawie francuskie gazety, donoszące o tych zarządzeniach, były dostępne i ojciec Fryderyka śledził z uwagą ich treści. Ostrzega więc syna w Paryżu w liście z 7 września 1834 r.: „[...] Ponieważ zdaje się że zostaniesz jeszcze jakiś czas za granicą, donoszę Ci, moje dziecko, że podobno w gazetach francuskich z 11 czerwca podano, że każdy Polak powinien starać się o przedłużenie swego paszportu. Ze względu na to, iż wyjechałeś przed zaburzeniami i żeś w nich nie brał żadnego udziału, cieszyłbym się, gdybyś zasięgnął w tej sprawie wiadomości, co łatwo zrobisz w ambasadzie. Przyznam się, że nie życzyłbym sobie, byś przez niedbalstwo został zaliczony do liczby emigrantów. Nie lekceważ tego, proszę Cię, i donieś mi, co z tego wyniknie [...]”.

Radził więc ojciec, by syn nie kompromitował się przez zbyt ścisłe stosunki z polskim środowiskiem emigracyjno-powstańczym, by nie palił za sobą mostów. Wiadomo było, że ambasador rosyjski w Paryżu, hrabia Pozzo di Borgo, bacznie

śledził, na skutek specjalnej instrukcji cesarza Mikołaja, co się działo wśród polskich wychodźców. Inwigilacja była skuteczna, a ambasador słał regularne raporty do Petersburga, skąd otrzymywał szczegółowe instrukcje postępowania.

Emigrant, nad którym wisiał zarzut polityczno-kryminalny (udział w zbrojnej rewolucji), chcąc umożliwić sobie legalny, czyli bezkarny powrót do Polski, musiał zgłosić się do ambasady rosyjskiej, objaśnić swoje dotychczasowe postępowanie i kornie prosić o łaskę w postaci paszportu do kraju. Decyzja leżała w gestii hrabiego Pozzo di Borgo i była oparta wyłącznie na jego osobistej ocenie politycznej postawy proszącego.

Czasem się udawało, nawet po wielu latach. Kurier Warszawski nr 36 z 1850 roku donosił na przykład: „Najjaśniejszy Pan, w przychyleniu się do najpoddańszej prośby wychodźcy Polskiego, Apolinarego Duve, w Paryżu przebywającego, Najmiłościwiej zezwolić raczył na powrót jego do kraju, bez zwrócenia mu atoli skonfiskowanego na rzecz Skarbu majątku”.

Formalnie rzecz biorąc, Fryderyk nie był „emigrantem”: nie uciekł za granicę przed prześladowaniami, nie ryzykował więc kar, przewidzianych w carskich ukazach. Dowodzi tego m.in. rejestr adresowy Polaków, przechowywany w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu, gdzie przy nazwisku Chopin widnieje adnotacja „nie emigrant”.

Fryderyk zwykle słuchał rad i wskazówek ojca, którego zawsze cechował trzeźwy umysł i rozwaga, trącący nawet nieco serwilizmem. W tym jednak przypadku obserwujemy kolizję postaw, bowiem sercem Fryderyk identyfikował się z przyjaciółmi-powstańcami, wręcz ubolewał nad faktem, że nie wziął czynnego udziału w Powstaniu. Choć formalnie nim nie był, w duchu i postawie czuł się „emigrantem”, jak jego przyjaciele-powstańcy.

Nie posłuchał więc zaleceń ojca i nie dokonał aktu złożenia wyjaśnień w ambasadzie rosyjskiej. Gorzej: odmówił „zaszczytnej” propozycji, by zostać muzykiem dworu cesarskiego w Petersburgu! Był to gest, który zwykle interpretuje się jako jeden z wyrazów jego patriotyzmu, choć – być może – w grę wchodziły także jakieś względy czysto praktyczne: konieczność przeniesienia się do Petersburga,



może kwestia finansowa, może obawa, że jego twórczość będzie sterowana życzeniami monarchy, może strach przed wyrwaniem ze środowiska.

Czy więc Chopin swoją postawą odciął sobie możliwość wyjazdu do Warszawy? Cierpiał przecież z powodu oddalenia od ukochanych rodziców i siostr – czemuż więc nie wybrał się więc w któreś wakacje, by ich odwiedzić? Miał okresy prosperity i mógł sobie finansowo na to pozwolić, a jednak nigdy do tego nie doszło! Przez prawie dwadzieścia lat! Czy powodem była obawa przed nieuniknioną rozmową z radzieckim, pardon, rosyjskim ambasadorem? Koniecznością tłumaczenia się z paryskich kontaktów i przyjaźni? Obawą, że w podróży może mu się „coś przytrafić”, co zakłóci długoterminowy życiowy plan kariery artystycznej?

Ocena jego postępowania nie jest jednoznaczna. Reputacja jednego z najwspanialszych artystów swojej epoki dawała pewną rękojmię, chroniła przed zakusami administracyjnych szykan. Znakomite koneksje wśród żon i córek rosyjskich dygnitarzy, z których wiele dopraszało się aby zostać jego uczennicami z pewnością dawały możliwości „załatwienia” pewnych drażliwych spraw. Z drugiej strony w okresie późniejszym pogarszające się zdrowie nie sprzyjało wyjazdom. Czemuż więc nigdy rodzice Fryderyka nie przyjechali go odwiedzić? Pytań jest wiele, a sprawa warta głębszej analizy.

PM

Skomplikowane życie

opowiadanie konkursowe

Lavren

To był upalny dzień. Promyki słońca wpadały przez okno do pokoju. Pomyślałam, że moje wakacje zaczną się wspaniale i będę je pamiętać do końca swojego życia. Czas wolny, słońce, wyjazdy na basen, do babci na wieś... Myliłam się. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będą to dwa miesiące stresu i zmian w moim życiu. Wstałam wcześniej rano, zeszłam szybko ze schodów i zobaczyłam moich rodziców. Siedzieli przy stole, jedząc śniadanie i pijąc kawę. Od razu zauważyłam, że coś jest nie tak. Milczeli jak nigdy. W ich oczach widziałam nienawiść i żal do siebie. Spytałam co się dzieje. Nie odpowiedzieli. Mama skończyła pić swoją kawę i wyszła do pracy. Od taty chciałam się czegoś dowiedzieć, ale nie pisał ani słowa. Wtedy wiedziałam, że coś pomiędzy nimi się popsło. Dwa dni potem poszliśmy z mamą na zakupy. Chciałam kupić książkę na urodziny dla mojej przyjaciółki i jakieś fajne ciuchy dla siebie.

Gdy szliśmy ulicą zapytałam mamę co się stało. Nie odpowiedziała. Spytałam jeszcze raz. Ze łzami w oczach powiedziała mi, że tata ją zdradził. Byłam zszokowana jej odpowiedzią. Najpierw myślałam, że to jakiś żart, ale po minie mamy dostrzegłam, że to prawda. Nie mogłam w to uwierzyć. W moim sercu narodził się żal do ojca. Masa pytań zaprzętała mi głowę. Pomyślałam – dlaczego on nam to zrobił? Następnie mama dodała, że to nie pierwszy raz. Powiedziała jeszcze, że teraz bardziej ją to boli, bo zdradził ją z koleżanką z pracy. Nic jej nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam co. Mamę musiałam jakoś pocieszyć, więc poszliśmy na

lody włoskie, a potem do kina. Spytałam jej co ma zamiar teraz zrobić? Odpowiedziała, że zażąda rozwodu. Byłam przerażona. Nie wiedziałam co myśleć, co robić. Wróciliśmy do domu. Zobaczyłam ojca. Myślałam, że go zabiję. Byłam na niego strasznie wściekła.. Pobiełam szybko na górę do swojego pokoju i mocno zatrzęsłam drzwiami. Położyłam się na łóżku, przytuliłam się do mojej poduszki i zaczęłam płakać. Płakałam chyba godzinę. Nie mogłam się uspokoić. Cały czas myślałam o zaistniałej sytuacji. Jeszcze te pytania: Co się ze mną teraz stanie? Z kim będę mieszkała? Jak to teraz będzie wszystko wyglądało? Czy jeszcze kiedyś będziemy z mamą szczęśliwi? Z płaczu zasnęłam. Gdy wstałam, poszłam zjeść kolację z moją „kochającą” się rodziną. Wszyscy przy stole milczeli. Nie wytrzymałam. Zapytałam ojca kiedy się wyprowadzi z domu. Było to trochę niegrzeczne z mojej strony, ale nie chciałam już dłużej z nim mieszkać pod jednym dachem. Zrobił wielkie oczy, myśląc, że o niczym nie wiem. Odpowiedział, że jeszcze przed sprawą rozwodową. Zjadł kolację i gdzieś wyszedł.

Minęły dwa miesiące. Było już po sprawie. Sąd orzekł winę ojca i nakazał płacenie alimentów na mnie. Ja zdecydowałam, że zamieszkać z mamą. Już nawet pogodziłam się z myślą, że moi rodzice już nigdy nie będą razem i że nigdy już nie będzie tak jak kiedyś, ale musiało się coś zepsuć. Była sobota. Spałam gdzieś do czternastej. W końcu miałam wakacje. Obudziła mnie mama, z uśmiechem na twarzy. Powiedziała, że mamy nowego mieszkańca. Ucieszyłam się, myśląc, że może kupiła mi jakiegoś zwierzaka. Zawsze chciałam

mieć małego psiaka, ale ojciec nigdy na to nie pozwalał. Myślałam się. Zeszłam ucieszona na dół, ale mina od razu zrobiła mi się kwaśna. W przedpokoju stał jakiś mężczyzna. Wysoki, przy kości o ciemnych włosach. W okularach jak siedemdziesięcioletek. Mama powiedziała: „Oliwia, przywitaj się”. Nie miałam ochoty z nikim się witać. Zwłaszcza, że ta twarz była mi już znana, ale nie wiedziałam skąd.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Mogę już iść na górę? Muszę się uczyć. – Był to nie trafiony argument, bo miałam przecież wakacje.

– Oliwia nie bądź niegrzeczna – powiedziała mama, po czym dodała: - To jest mój narzeczonny. Zamieszka z nami. Planujemy ślub.

– Planujecie ślub i ty mi nic o tym nie powiedziałaś? Nawet nie spytałaś? – odezwał się strasznie oburzona. Byłam na nią strasznie wściekła.

– Nie będę cię pytać o zgodę w takich sprawach. Idź do pokoju i się ogarnij, bo widzę, że trochę ci nerwy puściły.

Pobiegłam na górę i zamknęłam się w pokoju. Najpierw długo myślałam nad całą tą sprawą, ale doszłam do wniosku, że może to i dobrze, że mama znalazła sobie kogoś „nowego”. Nareszcie będzie szczęśliwa. Ochłonęłam i zeszłam do kuchni. Przeprosiłam mamę i tego faceta za moje zachowanie. Mężczyzna się przedstawił:

– Cześć, jestem Krzysztof.

– Oliwia – odpowiedziałam.

Minęły dwa tygodnie, a ja dogadywałam się z Krzyśkiem coraz lepiej. Zaczęły się przygotowania do ślubu. Miał się odbyć za dwa miesiące. Zaczęliśmy pisać

zaproszenia. Kupiliśmy zawieszki na alkohol. Zaplanowaliśmy nawet jak będzie ustrojony samochód, którym będą jechać do ślubu. Jak będzie wyglądał tort i jaką suknię mama ubierze w ten wyjątkowy dzień. Nareszcie nadszedł długo oczekiwany przez nas wszystkich dzień. Ślub był piękny. Rozpłakałam się. Wiedziałam, że mama znowu będzie szczęśliwa. Po ślubie poszliśmy do restauracji. Wszyscy bawili się do rana. Do domu wróciliśmy ledwo żywi. Kilka miesięcy po ślubie mama zaszła w ciążę. Na początku trochę się oburzyłam, ale w końcu miałam mieć rodzeństwo. Po dziewięciu miesiącach narodził się Mateuszek. Nie pamiętam kiedy ostatnio byliśmy tak szczęśliwi.

Razem z Krzysztofem i mamą jeździliśmy co tydzień na basen, do kina, do cyrku albo do ZOO. Z ojczymem dogaduję się lepiej niż z własnym ojcem. Z tatą widuję się 3-4 razy w miesiącu. Z tego co wiem, też ułożył sobie życie na nowo i jest szczęśliwy. Razem z „nowym tatą” żyjemy sobie jak najszczęśliwsza rodzina pod słońcem. Po rozwodzie rodziców myślałam, że już nigdy nic dobrze się nie ułoży. Najpierw moje życie kompletnie legło w gruzach. Potem znowu wszystko wróciło na dobrą drogę. Nawet ja znalazłam sobie chłopaka. Wcześniej myślałam, że to niemożliwe, żeby taka dziewczyna jak ja mogła kogoś spotkać. Myślałam się. Teraz z perspektywy czasu myślę, że może tak miało być. Cieszę się z tego, że pomimo mojego słodko-kwaśnego życia wszystko dobrze się ułożyło i mam nadzieję, że będzie tak na zawsze.

L

wilqa

INSPIRACJE





Czas na Czas dla Nas

PO PIERWSZE: WSZYSTKO CO CHCIAŁAŚ ZROBIĆ, ALE NIGDY SIĘ NIE UDAŁO

Jest takie miejsce, całkiem niedaleko od Warszawy, gdzie szumią sosny, cisza, nuda. Co jakiś czas leśna polana przy Placu Przyjaciół rozbrzmiewa gwarem kobiecych głosów, trzaskają drzwi i okiennice. Bywa, że wśród drzew panie rozstawiają sztalugi i malują, bywa, że dyskutują o spokoju ducha i znaczeniu „ja”, a bywa, że wpadną do zaprzyjaźnionej a niedalekiej stadniny, by pogłaskać koniki i nakarmić frywolną kozę. Czasami wybiorą się na wycieczkę w odległe od stolicy krainy, kiedyś nawet zasiadły do wylepiania garnków!

Zaczęło się od banalnego spotkania przy kawusi i ciasteczkach, panie ponarzekały na swój los, powzdychały finansowo, zadumały się z troską nad ogromem niesprawiedliwości życiowej. Między sernikiem a szarlotką na ciepło (z lodami oczywiście!) powstał projekt WILGA Inspiracje. Zamiast siedzieć i narzekać, panie wzięły się do wielkiego dzieła robienia tego, na co zazwyczaj nie miały albo czasu, albo kasy. Albo i jednego, i drugiego – jak to zwykle bywa...

Każda z nas ma jakiś talent, umiejętność,

pasję, wiedzę – czemuż nie podzielić się tym z innymi? Po co płacić za nudne zajęcia podstaw malarstwa czy tworzenia biżuterii, kiedy można to samo zrobić pod cierpliwym okiem przyjaciółki? Podyskutować o ciekawych książkach, pospacerować po lesie, wybrać się do opery, na koncert, do kina, upiec świąteczne pierniczki. Nie masz nic do zaoferowania? O! I tu się mylisz: na pewno jest coś, czym możesz podzielić się z innymi albo znasz kogoś, kto chętnie da cenne wskazówki ot tak, po przyjacielsku, i nie weźmie za to złamanego grosza. Nie był to słomiany zapach: na październik przygotowujemy dziewiętnaste już spotkanie. A wiecie co jest w tym najważniejsze? My! Jesteśmy różne: chudsze, grubsze, blondynki, brunetki i rudawe, różnych zawodów, w różnym wieku, ale robimy coś wspólnie, na bok odkładając codzienne troski, cieszymy się z chwili, którą dał nam łaskawy los... Każda z nas stała się Ambasadorką swojej własnej – niezwyklej i niepowtarzalnej – marki!

Przyjaciółka z Placu Przyjaciół

Rodzinny galimatias

z

używkami w tle





Ciąg dalszy rozmowy **Kasi Bożyk** z **Renatą Śmietanką**,
psycholożką, absolwentką Szkoły Wyższej Psychologii
Społecznej w Warszawie, współzałożycielką
Pracowni Aktywnego Działania „Półpiętro”, specjalizującą
się w pomocy psychologicznej dzieci i młodzieży,
m.in. w trudnościach w uczeniu się, radzeniu
sobie ze stresem, uzależnieniami.

W poprzednim numerze rozmawialiśmy o patologiach dotyczących dzieci z rodzin dysfunkcyjnych. Powiedziała też Pani, że choć te rodziny są zazwyczaj postrzegane przez społeczeństwo jako ubogie i z niskim poziomem wykształcenia, mające widoczne problemy z uzależnieniami, to jednak ten obraz powoli ulega zmianie. Zaczynamy zwracać uwagę na takie przypadki, których wcześniej raczej nie podejrzewalibyśmy o podatność na patologie. Mam tu na myśli rodziny dobrze zarabiające, postrzegające wykształcenie jako najwyższą wartość. Z reguły są one raczej otaczane szacunkiem i podziwem, lecz może się okazać, że pod przykrywką wysokich zarobków i sukcesów w szkole kryją się poważne problemy. Bywają niestety przypadki, kiedy dobre wyniki w nauce nie są wynikiem wyjątkowych zdolności dziecka, lecz zmuszania go do nauki i brania udziału w licznych zajęciach dodatkowych, często w ilościach przewyższających możliwości dziecka w danym wieku. Osiągnięcia i sukcesy stają się ważniejsze od relacji z dzieckiem, które, choć jest na skraju wyczerpania i wcale nie interesują go kolejne zajęcia, nie buntuje się, gdyż nie zna innego życia i uważa, że rodzic najlepiej wie co dla niego dobre. Rodzice zaś uznają, że dzieci mają posłuszenie wykonywać wszystkie ich polecenia, nawet jeśli nie mają na to ochoty. Ich relacje zarówno z rodzicami, jak i z innymi dziećmi są zaburzone. Jednak gdy takie jednostki wchodzi w wiek nastoletni, zaczynają zdawać sobie sprawę z faktu, że gdy oni byli zmuszani do ciężkiej nauki i brania udziału w licznych zajęciach dodatkowych, ich rówieśnicy wiedli zupełnie inne życie. W takiej sytuacji może nastąpić swego rodzaju załamanie, gdy postanawiają oni „nadrobić” stracone lata i wymykają się spod wszelkiej kontroli, popadając w nałogi i uzależnienia.

Nie ma jednej przyczyny sięgania przez młodzież po środki psychoaktywne. Ale rzeczywiście, autorytety zajmujące się problematyką uzależnień jako jeden z możliwych powodów wymieniają specyficzne funkcjonowanie rodziny. Tam, gdzie dziecko ma poczucie, że rodzic daje mu ciepło, bliskość, okazuje swoją akceptację bez względu na osiągnięcia intelektualne, jest zaangażowany w jego sprawy i jednocześnie stawia granice, które dają poczucie bezpieczeństwa, raczej nie będzie narażone na popadnięcie w nałóg.

To rozumią, że w rodzinach, w których dominuje miłość i akceptacja nie występują takie zagrożenia. Jak się ma natomiast sprawa w przypadku, kiedy relacje między rodzicami a dziećmi są zaburzone?

Ciekawostką jest fakt, że badania pokazują zależność pomiędzy tym, jakimi rodzicami jesteśmy, a rodzajem używki po jakie sięga nastolatek.

I tak: nadmierne kontrolowanie dziecka, tłumienie jego uczuć (szczególnie złości), wzbudzanie w nim poczucia winy, karanie oraz uporczywe domaganie się o wykonywanie poleceń sprawia, że dzieci sięgają po środki uspokajające lub alkohol.

Jeśli zaś rodzic często się irytuje, ma tendencję do zbyt negatywnego oceniania swojego dziecka i daje to mu odczuć, a także odrzuca je i lekceważy, to może to spowodować sięganie po opiaty i heroinę.

Natomiast dawanie dziecku nadmiernej swobody, brak jakichkolwiek granic i zainteresowania jego życiem zwiększa prawdopodobieństwo, że sięgnie ono po marihuanę czy LSD.

To zaskakujące, jak wielki wpływ mają nasze relacje z rodzicami na tego typu zaburzenia.

Wracając do przykładu, który pani przytoczyła, a więc rodziców, którzy w dobrej wierze zapisują dziecko na kolejne i kolejne zajęcia, ostatecznie sprawiają, że dziecko spędza ogrom swojego czasu poza domem. Nadmiar obowiązków, zmęczenie oraz naturalna w tym wieku chęć bycia z rówieśnikami powoduje, że więź dziecka z rodziną zaczyna się rozluźniać (brak wspólnego fajnego spędzania czasu, obiady na szkolnej stołówce itp.). A nastolatek jest podatny na wpływy kolegów, niestety również w zakresie próbowania różnych używek, które jak wiemy dają chwilową ulgę, powodując, że chłopak czy dziewczyna sięgną po nie kolejny raz. Bo jeśli coś jest skuteczne, to dlaczego tego nie powtórzyć? Należy też mieć na uwadze, że młodzież w tym wieku widzi tylko pozytywne konsekwencje brania używek, więc prawdopodobieństwo, że będzie brnęło w to dalej rośnie.

Więc jest to swego rodzaju próba ucieczki od wszechogarniających obowiązków?

W swojej pracy niejednokrotnie zdarza mi się pracować z nastolatkami, które wzrastają w rodzinach, w których panuje kult pracy czy osiągnięć. Dziecko wychowywane w takim klimacie często w pewnym momencie wręcz samo zaczyna narzucać sobie coraz więcej zajęć i obowiązków, co oczywiście ma swoją dobrą i złą stronę. Dobrą, bo taka jednostka się rozwija, poznaje nowe rzeczy, a złą, bo często sama nie wytrzyma presji i zaczyna uciekać - jeśli nie w używki, to w depresję czy nawet próby samobójcze. Gdzieś u źródeł przejęcia tego kultu podświadomie leży chęć bycia kochanym

i akceptowanym przez rodziców. Rodzic często nawet nieświadomie może dziecku przekazywać komunikat, że „jesteś dla mnie ważny i kochany, o ile spełniasz moje oczekiwania”.

A dzieci, pragnąc tej miłości, starają się te oczekiwania spełniać?

Do szpitala, w którym pracuję trafiła po próbie samobójczej właśnie taka dziewczyna. Naprawdę fajna, ambitna, świetnie się uczyła, organizowała teatr, grała w koszykówkę i robiła wiele innych rzeczy, które lubiła i które dawały jej satysfakcję – można powiedzieć, że się realizowała. Do czasu, kiedy nie wytrzymała tempa i z dnia na dzień zaczęła się rozsypywać. Przestała chodzić do szkoły, wychodzić z łóżka, aż pewnego dnia postanowiła ze sobą skończyć. Nikt nie był w stanie zrozumieć, co się stało i dlaczego. Rodzina była normalna, fajna, taka, jakich wiele. Rodzice pracujący, dobrze zarabiający, oboje z wyższym wykształceniem. Pytanie, które się we mnie zrodziło, gdy z nimi pracowałam, było takie: czyje pragnienia ta dziewczyna spełniała – swoje, czy może rodziców? Podczas rozmów z całą rodziną dochodziliśmy wspólnie do tego, co mogło być przyczyną kłopotów Darii i jak się przed nimi bronić w przyszłości. Akurat ci rodzice szybko zrozumieli, że to co najważniejsze, to nie ilość medali, osiągnięć i piątek w szkole, ale zdrowie i radość z życia, których nie da się przeliczyć na ilość trofeów.

Ale nie chciałabym, aby to o czym rozmawiamy miało tak pesymistyczny wydźwięk. Spotykam się i z takimi osobami, które pomimo trudnych doświadczeń życiowych potrafią znaleźć w sobie siły i zasoby, aby zmieniać swoje życie, odkrywać potencjał i wyjść poza schemat rodzinnych „tradycji”, ale o tym może w następnym numerze.

Dziękuję za rozmowę.





NA ZDROWIE

Lody bez lodów

czas przygotowania: 8 minut pracy własnej + czas mrożenia /proporcje dla 1-2 osób/

2 dojrzałe banany (dojrzałe = słodkie, najlepiej takie o skórce z brązowymi plamkami)

1/3 małej łyżeczki miodu (nie jest to konieczne)

opcjonalnie ulubione dodatki do lodów:

- siekana czekolada (biała, mleczna, ciemna)
- siekane bakalie (rodzynki, daktyle, żurawina, itp.)
- zmielone lub drobno posiekane wiórki kokosowe
- mielony cynamon
- kakao
- inne mrożone owoce (np. maliny, truskawki, brzoskwinie, itp.) - ...i co nam jeszcze wyobraźnia podpowie

Banany myjemy ze skórką po czym zamrażamy. W zamrażarce trzymamy tak długo aż się zamrożą. Następnie wyjmujemy banany obmywamy ciepłą wodą. Obcinamy końce i obieramy ze skórki. Kroimy na 3-4 części i wkładamy do blendera lub malaksera. Dodajemy miód.

Miksujemy (pulsacyjnie) na gładką, zmrożoną masę.

W wersji z dodatkami: wybrane dodatki mieszam ze zmikсовaną masą bananową np. bakalie, wiórki, itp. lub posypujemy nimi lody już w pucharkach np. siekana czekolada, kakao. Z bananami można też zmikсовать inne mrożone owoce np. z miękkimi i soczystymi sezonowymi owocami: z malinami, truskawkami, brzoskwiniami, dojrzałą gruszką itp.

Dekorujemy spontanicznie, pozwalamy ponieść się fantazji

(Zamrożone banany można przechowywać w lodówce nawet kilka miesięcy.)

Smacznego!

Ambasadorzy marki

Klaudia Ofiara



Modowe i kosmetyczne marki co sezon prześcigają się w tworzeniu nowych projektów, które sprawią, że staną się monopolistami na panującym rynku. Jak wiadomo, sam produkt się nie sprzedaje, a dźwignią handlu jest reklama, dlatego też każdy producent stara się, aby jego marka kojarzyła się z przyciągającymi uwagę cechami. Najlepiej sprawdzającym się ku temu sposobem jest pozyskanie ambasadora marki, czyli „twarzy”, która będzie reprezentowała i promowała swoim wizerunkiem daną firmę. Jedne koncerny wykorzystują tę samą modelkę czy aktorkę przez lata, inne co sezon zmieniają wizerunek, aby bardziej kojarzył się z daną kolekcją.

Już w XX wieku aktorki i modelki wybierały dany styl, nosiły ubrania projektantów i sprawiały, że kobiety chciały wyglądać tak jak one. To samo odbywało się w męskim świecie. Jedną z pierwszych modelek reprezentujących daną markę była Twiggy, która współpracowała z projektantką Mary Quant i wspólnie wyniosły jej spódniczkę mini na szczyt popularności. Śmiało można powiedzieć, że od tego czasu gwiazdy i modelki regularnie zaczęły pojawiać się jako reprezentantki marek.

W obecnych czasach firmy płacą ogromne wynagrodzenia za pozowanie w swoich reklamach i wykorzystywanie wizerunku gwiazd dla celów marketingowych. Proces ten jest widoczny zarówno na świecie jak i w Polsce, gdzie coraz więcej sławnych ludzi wykorzystuje propozycje uczestnictwa w reklamach. Modelką, która nie raz była twarzą różnych marek jest Kate Moss, występująca od najmłodszych lat w reklamach, a poprzez swoją współpracę w latach 90. z Calvinem Kleinem stała się jedną z najbardziej popularnych światowych modelek. Przez wiele lat promowała swoim wizerunkiem markę kosmetyczną Rimmel czy sieciówkę ubraniową Mango, a także wiele innych firm.

W ostatnim czasie powstała także reklama słynnego zapachu Chanel 5, reklamowana przez Brada Pitta, co było nieco szokujące, ponieważ mężczyzna promował zapach dla kobiet. Reklama zapachu dla pań, w której wykorzystano wizerunek znanego aktora miała

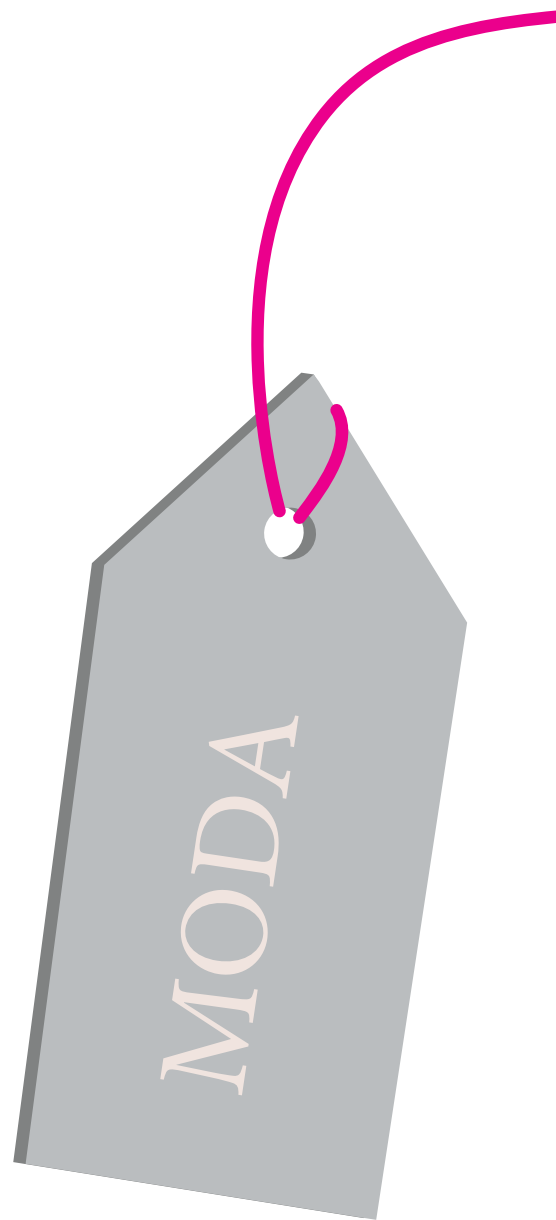
na celu przyciągnąć uwagę kobiet poprzez to, co on uważa za atrakcyjne i co przyciąga jego uwagę, a także uświadomić kobietom na nowo jednak w odmienny sposób, że jest to jeden z najdłużej utrzymujących się zapachów na rynku.

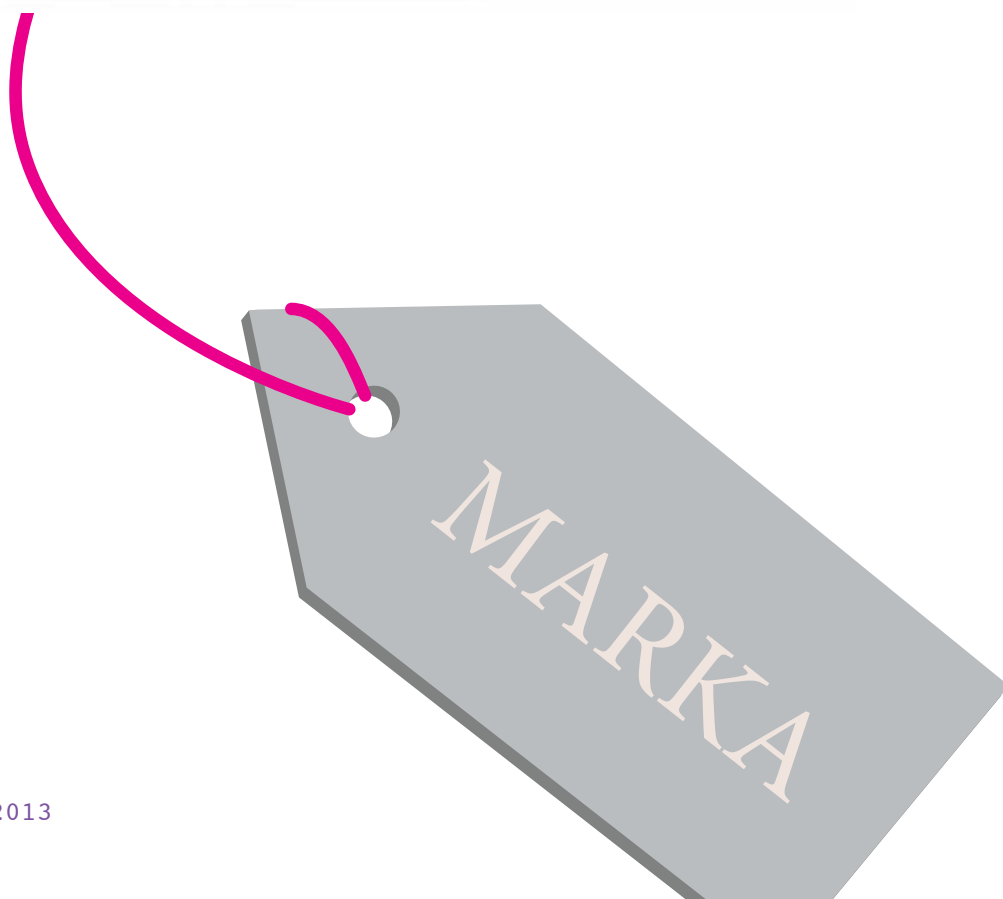
Inną alternatywę stosuje amerykański koncern Victoria's Secret, który zajmuje się sprzedażą ekskluzywnej bielizny i kosmetyków. Ich pokazy mody wywołują co sezon wielkie wzburzenie, ponieważ kilka znanych modelek wychodzi na wybieg w bieliźnie i wielkich, anielskich skrzydłach, stąd też ich nazwa: „Aniołki Victoria's Secret”. Pokazy cieszą się niesamowitym powodzeniem, a połączenie razem pięciu znanych modelek daje jeszcze większą siłę przebicia, zyskując jeszcze wyższą popularność. Podczas pokazu do modelek dołączają często muzycy, którzy śpiewają na żywo, co sprawia, że nie jest to tylko pokaz, ale całe widowisko modowe.

Ostatnio popularna stała się także blogowa sfera. Daje to możliwość producentom na nowy sposób reklamy. Blogerki testują produkty i opowiadają o nich w swoich postach, bądź pozują w odzieży danych marek. Promują markę swoją osobą, stając się w ten sposób często ambasadorką marki, czyli osobą współpracującą na stałe. Korzyści w takich wypadkach są obopólne, ponieważ i marka i blogerka mają szansę na rozwój, a klient może poznać obiektywną ocenę produktu.

Innym sposobem na promocję jest nieposiadanie w ogóle promującego marki ambasadora. Zgodnie z taką postawą produkt ma się wybronić sam i stanowić główny element zarówno w reklamie, jak i na sklepowej półce. W takich reklamach to produkt będzie znajdował się w centralnym punkcie i będzie jedynym charakterystycznym elementem.

Niemal na każdym kroku otaczają nas w dzisiejszym świecie reklamy, a z prawie każdego rogu spoglądają na nas twarze modelek i modeli. Jednak w świecie mody wciąż możemy dostrzec osobowości,





które nie rozstają się ze swoim starannie wypracowanym wizerunkiem i od lat pozostają mu wierne bez względu na zachodzące zmiany czy kolejne trendy. Najważniejsze to w końcu trzymać się tego co sami kochamy, w czym dobrze się czujemy.

Jedną z wokalistek, która ma swój specyficznie wypracowany styl będzie z pewnością Florence Welch. Ta Brytyjka ma bardzo charakterystyczny sposób postrzegania mody, który obcuje między boho, hippie i indie, czyli dość pokrewnymi rodzajami. Wybiera luźne i zwiewne tkaniny, dodatki ze skóry, zamszu, jeansu czy dużą biżuterię, taką jak wystawne pierścionki i długie naszyjniki. Jej styl jest dość nonszalancki, łączy ze sobą stroje od projektantów i te z sieciówek. Florence uwielbia także duże kapelusze, które zakłada na niemal wszystkie okazje. Jej nieodłącznym elementem są także rude włosy, które zazwyczaj nosi rozpuszczone i pofalowane, dzięki czemu zyskuje naturalny wygląd. Na koncertach wybiera zazwyczaj długie suknie w stylu gotyckim, a jej fanów możemy zobaczyć w wiankach we włosach i brokacie na twarzy, co nawiązuje do jej stylizacji. Wszystko to składa się na niepowtarzalny styl Florence.

Niektóre gwiazdy – można powiedzieć – nie posiadają stylu, ale po prostu chęć szokowania i przykuwania uwagi. Najlepszym przykładem będzie tu Lady Gaga, która w swoich stylizacjach nigdy nie sięga po klasyczne zestawy, a jej sposób bycia jest bardzo ekscentryczny. Od geometrycznych i srebrnych gorsetów po strój z mięsa wokalistka wciąż szokuje i wzbudza sobą zainteresowanie. Nie można nadążyć za jej strojami, raz mocno podkreślają kobiece walory, następnego dnia jest przebrana za mężczyznę. Lady Gaga często sięga po peruki, niebotycznie wysokie obcasy, nakrycia głowy o nieokreślonym kształcie czy wielkie okulary. Taki sposób ubierania się sprawia, że może zacierać się odbiorcy granica między artystyczną stroną jej twórczości a byciem symbolem kiczu. Jednak należy pamiętać, że każdy ma prawo do własnych wyborów i własnego sposobu na kreowanie wizerunku i utożsamiania się z prezentowanym przez nas wzorem.

XXI wiek to czas, w którym uprzemysłowienie świata i pochłonięcie go przez konsumpcjonizm sprawiło, że wygląd zewnętrzny odgrywa ważną rolę. Promowanie produktów przez gwiazdy kina, muzyki czy modelingu sprawia, że przedmiot staje się bardziej pożądanym. W całym natłoku modowych przywódców należy pamiętać, żeby nigdy nie zatracić siebie i dążyć do wyznaczonego przez nas własnego stylu. Nieważne czy będą to spokojne i delikatne połączenia czy ekscentryczne przełamywanie modowych barier, najważniejsze, żebyśmy sami dobrze czuli się z modą, korzystali z jej dobrodziejstw i bawili się nią tak, aby dojść do punktu, w którym będziemy świadomi własnego stylu.

KO



SKRAWKI, ŚCINKI I BŁYSKOTKI

Utwory małe i jeszcze mniejsze. Varia, zabawki i zabaweczki. Wprawki i prawidełka. Ot, mały tomik wyciągnięty z szuflady z napisem „nie do druku”. A przynajmniej nie za życia autorki. Jak zawsze u Szymborskiej dzieło obszerne z tego nie powstało, bo była poetka mistrzynią w oszczędzaniu słów, czego i tutaj znajdziemy dowody. Powstało za to udane „dzieło humoris causa”, że posłużę się jakże trafnym określeniem „Błysku...” z przedmowy Bronisława Maja.

Czego my tu nie znajdziemy? Są pierwsze wyrazy składane przez czterolatkę, romansidło dwunastoletniej pensjonarki, sensacyjny kryminał, wprawki stylistyczne, „porządne” wiersze i „Słownik wyrazów obelżywych”. Nie zabrakło bajek czy limeryków. No i oczywiście gatunki autorskie: lepiej, moskaliki, rajzerfiberki itd. A to jeszcze nie koniec, bo przecież są jeszcze genialne kawałki prozatorskie - listy do profesora Białasa, w których Szymborska raz jest np. trzpiotką-idiotką, raz kochanką Mao.

Tomik został podzielony na cztery części według dwóch zasad: chronologicznej i gatunkowej. Do tego redaktorzy ładnie zadbali o to, by każda z części była spójną, odrębną całością. Oczywiście, wszystkie te chronologie i podziały nie przeszkadzają w czytaniu wspak, w poprzek, czy do góry nogami. Ba, można książkę nawet tylko oglądać, bo integralną częścią „Błysku...” są grafiki, ilustracyjki i słynne wyklejanki autorki.

„Błysk rewolwru” bawi. Ale poznać zabawną Szymborską to nie sztuka. Wystarczy zajrzeć do innych tomików, czy poszukać poetki w internecie. Ta niewielka objętościowo zbieranina (w dobrym znaczeniu) słów i tekstów świetnie obrazuje ewolucję „dzieła” autorki. Zmiany jej stylu, zainteresowań. Słowem - proces twórczego dojrzewania. A że przy okazji zagłębimy też trochę pod podszewkę, by choć na chwilę błysnęła nam prywatna Szymborska - tylko przyklasnąć. Także tym, którzy w szufladzie Noblistki pogrzebali i wynaleźli.

Wisława Szymborska, Błysk rewolwru, Agora, Warszawa 2013



HISTORIA JEDNEGO NOTESU

„Ostatnie rozdanie” to podszyte goryczą rozliczenie się przed samym sobą starszego mężczyzny, który wydaje się być pogodzony z tym, że zmarnował życie. Czym? Programowym brakiem jakiegokolwiek zaangażowania. Uciekaniem przed głębszą relacją z drugim człowiekiem. Poza jednostkowym rozrachunkiem ta swoista spowiedź jest też filozoficznym traktatem o wartościach, sensie, o miłości. O życiu.

Podobnie jak we wcześniejszym „Traktacie o łuskaniu fasoli” Myśliwskiego nie znamy personaliów bohatera. Dzięki temu kreślony portret wpisuje się w plan uniwersalnego doświadczenia. Narrator też nam pomaga w takim rozumieniu jego historii. Nie rozczula się, nie szuka współczucia i nie pokazuje emocji.

Przyzwala na obserwację. Tym, co spaja opowieść jest notes z adresami, z którym bohater nie może się rozstać. Obsesyjnie wszędzie go ze sobą zabiera. Wertuje, sprawdza, próbuje sobie przypomnieć, kto jest kim. Ta

beładna szperanina jest punktem wyjścia do migawek wspomnień, w których narrator szuka odpowiedzi, kim i po co jest.

Dodatkową klamrą powieści są listy nie-listy Marii, młodszej miłości bohatera. Pojawiają się nagle, bez żadnej zapowiedzi czy choćby wyróżnienia w tekście. Czy kobieta istnieje naprawdę czy jest tylko projekcją bohatera o idealnej, niespełnionej miłości? Niech każdy sam odpowie sobie na to pytanie.

Ja nie wiem. Wiem tylko, że sens powieści znacznie wykracza poza proste stwierdzenie, że bez miłości nasza egzystencja jest nic nie warta. Myśliwski pisze raczej o zaangażowaniu w drugiego człowieka. O byciu w relacji, a nie bywaniu. Pisarz zdecydował się na swoją ulubioną formę monologu wewnętrznego. Jeśli do tego dołożyć fakt, że mamy do czynienia ze wspomnieniami, może trącić pewną stylistyczną monotonią. Nie u Myśliwskiego, który wie, jak pokazać pisarski pazur. W „Ostatnim rozdaniu” jest kilka scen perełek, które wyrażone są w zupełnie innym rytmie. Jak choćby mistrzowski dialog bohatera na cmentarzu czy paplanina sekretarki-pocieszycielki. Scenki te zmieniają perspektywę czytelnika, który z obserwatora, nawet cokolwiek zdystansowanego, nagle staje się zaangażowanym współuczestnikiem akcji.

„Ostatnie rozdanie” jest powieścią tradycyjną. Nie zdziwię tym nikogo. Myśliwski pokazał jednak, że forma nie musi polegać na łapaniu się prawą ręką za lewe ucho, jak u niektórych „morfistów”, by stworzyć coś świeżego, ważnego i prawdziwego. Coś, co pozwala na wielorakie interpretacje i trzyma uwagę czytelnika. To nie jest lektura obowiązkowa. To wybitna powieść z zaleceniem wielorazowego użytku.

Wiesław Myśliwski, Ostatnie rozdanie, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013

Agata Wiśniewska



Jerzy Świątkowski urodzony w Grudziądzu w 1942 roku.

Twórca wszechstronny, malarz, grafik, poeta i publicysta. (kolaż)

Anna Blachucka urodzona w Kozłowie w woj.świętokrzyskim w 1950 roku.

Pisarka, poetka i animatorka kultury.



PISAĆ DO PODŚWIADOMOŚCI (2012)

Sonet ognisty

Anna Błachucka

Przed oczy wzięte do ostatniej rzęsy
na lep migotań błysków monitorów,
przed uszy zwiedłe od fałszu,
słów „mięsnych”
– wyszedł z tarniny ptak w ogniu kolorów.

Te barwy – pięścią biły między oczy,
uszy chwyciły ciszę osłupienia
jego i moją. On pierwszy uskoczył.
Frunął w gąszcz krzewów i ... koniec widzenia!

Dreszczem przemieszcza się w duszy, na ciele
nadmiar emocji. Uciekł, mógł się schronić!
A ja, choć rzeczy i sprzętów mam wiele,
nie mogę. Rzecz mnie przygważdża,
sprzęt goni,
komórka znaczy... Prawda rozum kłuje,
że mnie ktoś na swe potrzeby – hoduje.



WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XXJJ

Kilka godzin później ranka Ulyka wciąż krwawiła. Było to małe skaleczenie. Tak, jakby przygryzł sobie wargę swoimi ząbkami. Oczyszczone i obłożone niewielkim opatrunkiem ciągle broczyło krwią. Szmutki zmieniane co chwilę utworzyły pokaźny stosik. Ulyk początkowo nie zdawał sobie sprawy z tego co się dzieje. Gdy minął strach zaczął się ponownie bawić. Wraz z upływem czasu jednak wydawał się coraz bardziej śpiący i senny. Ukołyszany do snu zasnął. I nadal krwawił. Dla Thomasa była to niespotykana rzecz. Taka ranka, takie maleństwo już dawno powinno się zagoić, a ta wciąż była świeża.

– Pewnie kto rzucił na niego zły czar – odpowiedziała jedna z opiekunek malca.

– Kto? – spojrzał gniewnie.

– A może to panie... może to kara za

jakieś zło? – szepnęła druga.

Przyjrzał się kobietom. Wydawały się zaleknione i niepewne.

– Żeby tylko życie z niego nie wypłynęło – szepnęła ponownie starsza.

– Co wy gadacie, jakieś gusta, jakieś dziwactwa mi tu opowiadacie – zachnął się.

– Nie panie, tylko... co będzie dalej, jak nie przestanie krwawić?

Thomas zastanowił się a następnie złapał się za głowę i ścisnął najmocniej jak potrafił. Ale jego ból nie przyniósł mu pomocy. Wizja siniego, nieprzytomnego dziecka poraziła go jak piorun z jasnego nieba.

– Trzeba wezwać medyka. Zawołać go tu czym prędzej. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem – pokręcił głową ze zdumieniem.

Przyprowadzony z gospodarczego skrzydła medyk zbliżył się do śpiącego



dziecka. Posłuchał co mieli mu do powiedzenia i obejrzał ranę. Potarł w zamyśleniu nos opuszkami palców przyjrzał się ranie raz jeszcze.

– Hmm... – zaczął – hmm... to niegroźna rana – mówił spokojnie i z namysłem – ale wciąż bije z niej krew... hmm. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem...

– Tyle to ja też wiem – powiedział gniewnie Thomas – lepiej coś z tym zrób –

– Ja myślę, że po prostu dziecko ma zbyt dużo krwi i dlatego tak z niego leci, hmm uście... trzeba mu jej ująć i wtedy przestanie lecieć.

– To rób coś, a nie tylko stoisz i się gapisz – wrzasnął Thomas.

– Już panie, już biegnę po pijawki – medyk wybiegł szybciej niż zdążył dokończyć zdanie.

Thomas przyjrzał się tymczasem dziecku. Ulryk był bledszy i nawet

jakby trochę siny.

– Jeżeli jeszcze trochę krwi mu ujdzie to całkiem zsinieje – powiedział nagle głośno – nie można mu jej zabierać. Przecież całe życie z niego ujdzie.

– Tak panie, już jestem – pokazał się zdyszany medyk, trzymając w dłoniach gliniany garnek. Dobiegł do łóża. – Już mogę zacząć przystawiać pijawki.

– Nie! – Thomas nagle podjął decyzję. Odtrącił go. Garniec wypadł medykowi z rąk. Roztrzaskał się, a woda i wijące się pijawki rozlały się po podłodze. – Musisz wymyślić coś innego. Nie pozwolę przyczepić tego obrzydlistwa do mojego syna – popatrzył z niesmakiem na klęczącego na podłodze mężczyznę.

Medyk próbował zgarniać swoje pijawki na jedną z większych skorup.

– Mogę naciąć skórę w innym, bardziej bliskim krwi miejscu – podpowiedział



nieśmiało znad podłogi.

– Nie rozumiesz głupcze! – Thomas był już bardzo zły. Czuł, że zamknięta w nim złość nie znajdzie ujścia, jeżeli nie przyłoży temu łapiduchowi. – Jeżeli zabierzesz jeszcze choć kilka kropli to on wtedy nie będzie miał jak żyć. Myśl głupcze, jesteś w końcu medykiem, podobno się na tym znasz.

– Tak panie, już myślę, ale zwykle ranom wystarcza przewiązanie, a ta... – wzruszył bezradnie ramionami – może trzeba – wyczuwał nastrój pana, zresztą jego zwężone oczy i zaciśnięte pięści wyraźnie mu mówiły o niebezpieczeństwie. Żeby tylko stąd cało wyjść. – Może trzeba zwrócić się do Boga? – dokończył niepewnie.

Thomas popatrzył na niego, na otaczające ich kobiety i padł przy łóżku, na którym leżał Ulryk. Splótł dłonie i spojrzał na krucyfiks, zawsze wiszący na ścianie.

– Boże, przebac mi moje grzechy. Przebac mi mój gniew i złość – zaczął mówić – uratuj moje dziecko. Uratuj je, pokaż drogę... błagam... Jeżeli tylko Ulryk wyzdrowieje, przyrzekam... przyrzekam wobec tych wszystkich tutaj, że sprowadzę z powrotem Ursulę i... będę starał się być dla niej dobrym mężem. Przyrzekam, tylko pomóż mojemu dziecku – złapał się ponownie za głowę – proszę cię, niech on tylko żyje. Nie zabieraj mi go. Nie jego!

Obok niego klękła któraś z mamek i też zaczęła się modlić. Pozostałe poszły w jej ślady. Medyk przezornie wycofał się z komnaty, unosząc swoje pijawki na skorupie. Nagle coś go tknęło. A jeżeli dziecko umrze, to wszystko będzie na niego i co się wtedy z nim stanie?

– Panie – szepnął zbliżając się do ucha Thomasa – panie, ja wiem, że to



Jesień idzie
nie ma na to
rady

może nie tak, ale mówią, że za rzeką mieszka wiedźma i że ona zna się na czarach, może ktoś na niego czar jaki rzucił – przekonywująco podpowiadał panu. Ten nie zwrócił na niego uwagi, ale mając wciąż głowę opartą na ściągniętych dłoniach słuchał uważnie. Podniósł się. Rozejrzał...

– Sprowadźcie wiedźmę zza rzeki. Natychmiast – rozkazał. Spojrzał w twarzyczkę synka – zobaczysz, nie oddam cię śmierci. Zobaczysz.

Dworzanie rzucili się, aby wykonać jego polecenie. Nagle Thomas zastanowił się. – Stać! Sam do niej pojedę. Owińcie Ulryka szczelnie, a ja będę z nim szybciej niż wy ją tu ściągniecie.

Wybiegł do stajni. Mamki z przerażeniem zaczęły owijać nieprzytomne dziecko. Ranka wciąż krwawiła.

Marianna odwróciła twarz od słońca, słysząc tętent kopyt końskich rozlegający się po lesie. Zerwała się z ławy. Odina z małym siedzieli na drugim krańcu ławy i też korzystali z dobroczynności letniego słońca. Na polanę wypadł spieniony koń, a na nim obie kobiety rozpoznały pana. Stały jak ścięte mrozem. On jednak tego nie zauważył. W ramionach trzymał jakiś pakunek. Zeskoczył z konia i nie patrząc na Odinę podszedł do Marianny.

– Mój syn – pokazał jej dziecko – z mojego syna uchodzi życie – popatrzył błagalnie jej w oczy. – Ratuj go!

Kobieta westchnęła. Zagryzła wargi. Ręce nie chciały skierować się w jego stronę. Były jak martwe. Odmówiły posłuszeństwa. Tylko oczy badały uważnie jego twarz.

– Hojnie cię wynagrodzę, tylko go ocal



– szepnął.

Wreszcie otrząsnęła się. Wyciągnęła dłoń i wzięła chłopczyka w swoje ramiona. Odchyliła koc, twarz dziecka była prawie przezroczysta. Pokręciła głową.

– Późno – pokręciła głową – zobaczmy – skierowała się do izby nie patrząc na niego więcej. Thomas ruszył za nią.

– Nie, ty zostań tu – wskazała mu podwórze nie odwracając do niego twarzy.

Pies ujadął próbując zerwać się ze sznura, którym został przywiązany. Marianna weszła do izby, zamykając za sobą dokładnie drzwi. Thomas opadł na ławę. Ukrył twarz w dłoniach i zamarł w oczekiwaniu. Nasłuchiwał co się dzieje w środku. Słyszał jakieś chroboty i szept. Coś stuknęło, a potem umilkło i nastała cisza. Za chwilę coś znowu zachrobotowało, zaszleściło. Zerwał się lekki wietrzyk,

który osuszył zroszone potem czoło. Rozejrzał się nieprzytomnie. Spostrzegł dziewczynę z dzieckiem na ręku. Stała w cieniu brzozy. Pomimo tego rozpoznał w niej Odinę. Spuścił głowę, a po chwili znowu na nią popatrzył. Dziewczyna tuliła do siebie dziecko. Pomyślał przez chwilę. Z chaty dobiegły go słowa. Jakby wiedźma kogoś wzywała czy prosiła. Wsluchał się w to, zapominając o wszystkim innym. Słońce dobrze się już chowało za drzewa, kiedy zmęczony podniósł się z ławy. Był ścierpnięty. To drugie dziecko rozpłakało się nagle. Odina utuliła je starając się nie zwracać na siebie uwagi. Schowana w cieniu brzozy marzyła, aby być niewidoczna. Mężczyzna podszedł do niej jednak.

– Odina, prawda? – zapytał.

– Nie musisz się mnie obawiać, nic złego ci nie zrobię.

– Tak panie – powtórzyła.



– To twoje dziecko?
– Tak panie – gdybyż tylko mogła ukryć się w ziemi. Tak bardzo tego teraz pragnęła.
– To chłopczyk?
– Tak.
– Jak go nazwałaś?
– Miłek.
– Jakie dziwne imię.
– To z ziemi skąd pochodzi moja matka – wydusiła z siebie. Nigdy, nawet na zamku nie rozmawiała z panem tak długo. Posyłana po jakieś drobnostki, nigdy nie rozmawiała o sobie czy czymkolwiek innym.
– Kto jest jego ojcem?
– Nie ma ojca – ostrożnie odpowiedziała nie patrząc w oczy Thomasa.
– A kiedy się urodził, wygląda na to, że niedawno?
– Tak panie.
– To więc kiedy?

– Dwie pełnie temu.

– Hmm...

Popatrzyła złęczniona. Czyżby powiedziała za dużo? Natychmiast opuściła jednak wzrok i przytuliła do siebie mocniej dziecko.

– A wiesz, że Henryk nie żyje – powiedział spokojnie, patrząc na jej reakcje.

Jakby trochę się uniosła. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Patrzyła tak dłuższą chwilę, a on przyglądał się jej uważnie. Widział, że się zmieszała i zasmuciła. Uśmiechnął się do siebie. Przywołał do siebie myśl, która kołatała mu się gdzieś na krańcach głowy.

– Kochasz swojego synka?

– Tak panie.

– A nie chciałabyś wrócić na zamek?
Nie odpowiedziała, spojrzała na niego przerażona. Uśmiechnął się spokojnie.

KBC

Ambasador

Anna Ciemieniecka



foto Marek Pływaczyk

P

Przez „dzielnicę ambasad”, podziwiając piękne, secesyjne budynki mieszczące w sobie kolejne przedstawicielstwa krajów z całego świata, udaję się na spotkanie z niezwykle ambasadorem. Mijam fantazyjnie zdobione fasady, misternie splecione reliefy, szlachetne kolumny, bezszelestnie wjeżdżające na posesję czarne, błyszczące limuzyny z niebieskimi tablicami rejestracyjnymi, nobliwie inkrustowane tabliczki informacyjne, uzbrojonych wartowników (tylko przed jedną ambasadą – na całym świecie tego samego państwa tylko tą jedną tak strzeżoną), różnorodne flagi powiewające przed każdą siedzibą, oznajmiające o tym jaki kraj zaanektował ten kawałek czeskiego lądu.

Pozostawiam za sobą te dostojne przedstawicielstwa, opuszczam urokliwie dystygowaną skrajo-staromiejską dzielnicę i wchodzę pomiędzy nowo-zwykłe praskie bloki. W szarej, topornej bryle areny spotkam nieoficjalnego, ale wyjątkowego przedstawiciela swojego kraju. Kraju, który oficjalnie właściwie nie istnieje, który nigdzie

nie ma swojej ambasady ani legalnych dyplomatów, ale jeśli kogoś można nazwać jego ambasadorem, to na pewno właśnie tego człowieka.

Poprzedzony skupioną ciszą, zapowiedziany coraz bardziej poruszonym biciem setek serc, które ogarnia fala nie dla wszystkich jeszcze wytłumaczalnego wzruszenia, na scenę wchodzi niezwykle „ambasador”. Zamiast eleganckiego garnituru ma na sobie proste, bordowo-żółte mnisie szaty, zamiast teczki z ważnymi dokumentami w rękach modlitewny różaniec na rękę, zamiast dyplomatycznego, uprzejmego wyrazu twarzy słoneczny uśmiech. Nazywa się Tenzin Gyatso, znany także jako Jego Świątobliwość XIV Dalajlama.

Przedstawiciel kraju ginącego pod zburzonymi świątyniami, pod ostrzałem z karabinów i czujnie śledzących spojrzeń, za kratami więzień, za grubymi murami duszącymi w sobie krzyk, pomiędzy surowymi restrykcjami, pod pokrywanymi betonem dzikimi przestrzeniami, zakuwaną w kajdany wolnością ciała i próbami zakucia w nie umysłów. Ginącego na oczach świata, który w większości wybiera korzystny handel zamiast dobra ludzi. Ambasador kraju, którego oficjalnie nie ma, a który jest – wszędzie tam, gdzie przebywa on lub myśl o nim. Przypomina o tym grupka przejętych uchodźców trzymająca transparent witający „Słońce Tybetu”.

Reprezentant państwa, którego religia rozkwitła na całym świecie po tym, jak zaczęła być represjonowana w nim samym. Nie tylko nie udało się jej wykorzenić, ale i „puściła pędy” spod Himalajów i oplotła nimi całą kulę ziemską. Wielu ludzi znalazło w niej odpowiedzi na najważniejsze dla siebie pytania, drogowskazy według których warto iść. Stało się tak dzięki takim jej przedstawicielom jak Dalajlama (najbardziej znany jej symbol), zmuszony opuścić Tybet, nazywany od kilkudziesięciu lat Chinami. Paradoksalnie – to, co przyniosło cierpienie i wygnanie tak wielu ludziom, wielu innym przyniosło pożytek...

Ambasador w mnisich szatach nie jest jednak misjonarzem, nie krzewi swojej religii, namawia wręcz do zagłębienia się w swoją własną, rodzimą. Spora ilość ludzi przyznaje, że pod wpływem jego nauk stała się lepszymi wyznawcami tej swojej „przyrodzonej” religii, na przykład lepszymi chrześcijanami, a także, w przypadku ateistów, po prostu lepszymi ludźmi. Jedyne czego chce być naprawdę ambasadorem, co podkreśla jako ważne i co pragnie zaszcześcić, to wzajemny szacunek, troska o innych, współodpowiedzialność za nasz wspólny świat, współczucie. Nie chodzi mu także o polityczną niepodległość swojego kraju, jedynie o prawdziwą wolność tworzących jego naród i pokojowe współistnienie wszystkich jego mieszkańców – tych „starych” i tych... „nowych”.

I gdziekolwiek się pojawia budzi w ludziach właśnie to czego jest orędownikiem, chociaż na chwilę - dotknięcie serca ciepłem, którym ma się ochotę podzielić z sąsiadami, które zapala „coś w duszy” - jak świeczka przekazująca swój płomyk dalej.

Doświadczyłam jak po spotkaniu z nim

dostojny arcybiskup ścisnął wszystkich dookoła, jak to samo, ze łzami w oczach, czynił ksiądz, jak poruszone były zakonnice i przedstawicielki parafii zwykle nieceniące odmiennej wiary, obiecujące „modlić się za Dalajlamę, bo to święty człowiek” i obwieszczające to obcym ludziom spotkanym na chodniku. Odczułam prawdziwe poruszenie w ludziach, ciepło roztopiające lody, rozpromieniające przyczajone w cieniu zakątki duszy, nagle rozlewającą się przez tłum życzliwość i uważność na drugiego człowieka. Jakieś poczucie zaczarowania przestrzeni, unoszenia się w niej czegoś trudno nazwalnego, co chciałoby się zatrzymać na zawsze. Ambasador dobrego serca otwierający serca innych.

Ambasador współistnienia nie pozostawiający obojętnym nikogo, kto się z nim spotka, niezależnie od wyznawanej religii i poglądów. Traktujący tak samo serdecznie wszystkich, bez względu na pozycję społeczną, narodowość, okoliczności. Jego Świątobliwość – zwyczajny – niezwykajny rzecznik cennych wartości. Naturalny, bezpośredni, bez żadnego „napuszenia”, gwiazdorstwa, w pełni skupiony na tych, z którymi się spotyka zamiast na swoim wizerunku. Dbający o wszystkich, nie tylko „o swoich”. Myślący o tym, co dobrego może zrobić dla innych i przekonujący, że jedynie o to warto się starać, by dobrze wykorzystać swoje życie. Wracając pomiędzy budynkami ambasad, wśród których nie ma tybetańskiej, myślę o tym, że dobrze jest spotykać takich ludzi, że dobrze, że są tacy przedstawiciele człowieczeństwa, uświadamiający to, co naprawdę jest ważne. Po prostu.

AC



Dokąd odeszli dawni Bogowie ... Miejsca magicznej mocy na Mazowszu

Adrian Pogorzelski
Leszek Marek Krześniak

Uroczysko Joście, gmina Kołbiel. Wybudowana w 1947 roku kapliczka pod wezwaniem św. Anny. Kapliczka ufundowana w miejscu nieistniejącego kamiennego głazu narzutowego pełniącego rolę ołtarza ofiarnego. Fot. S.Białczyński



Cyganówka, gmina Wilga. Głaz narzutowy pełniący najprawdopodobniej rolę ołtarza ofiarnego w epoce brązu. Pierwotnie na uroczysku znajdowały się dwa głazy. Jeden z nich rozbito w początku XX wieku w związku z budową kościoła w Wildze.



Południowo-wschodnie Mazowsze, okolice Kołbieli, Wilgi, Maciejowic, choć leżą w bliskości do Warszawy to miejsca tajemnicze i mało poznane, pełne śladów przeszłości. Znajdziemy tam owiane mgłą tajemniczości liczne miejsca kultu przedchrześcijańskiego, święte głązy, lecznicze źródła. Dzisiaj często to miejsca zapomniane, nie rozpoznawane nawet przez miejscową ludność.

Wyjątkiem na tym tle jest z pewnością uroczysko Joście, położone opodal małej wsi Głupianka w gminie Kołbiel. Polana Joście słynęła z mierzącego w obwodzie 15

metrów głązu narzutowego, bowiem na jego powierzchni znajdowały się intencjonalnie wykonane zagłębienia. Dzisiaj kamienia już nie ma, w początku XX wieku został on na polecenie proboszcza parafii Kołbiel rozłupany. Fragmenty kamienia posłużyły do budowy schodów kościoła w Kołbieli. Część głązu z tajemniczymi zagłębieniami, miejscowa ludność ocaliła i posłużyły one później do budowy progu kapliczki, która dzisiaj dominuje w krajobrazie uroczyska. Tajemniczy kamień zniszczono ze względu na odbywające się wokół niego obrzędy w okresie przesilenia wiosennego.

Cyganówka, gmina Wilga. Głaz narzutowy pełniący najprawdopodobniej rolę ołtarza ofiarnego w epoce brązu. Symbol lunarny umieszczony na gładzie?



Narzędzie krzemienne ze schyłkowej epoki neolitu odnalezione opodal uroczyska „Joście”.





Sobolew, gmina loco. Głaz narzutowy opodal kościoła św. Piotra i Pawła.
Miejsce słynące z cudów.



Sobolew, gmina loco. Głaz narzutowy opodal kościoła św. Piotra i Pawła pełniący w czasach przedchrześcijańskich rolę ołtarza ofiarnego?
Niecka ofiarna.

W pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy mieszkańcy okolic pielgrzymowali na Jościa, bez asysty księdza, niosąc jedzenie i drobne monety, które składane były wokół głazu. Dary te miały służyć najbiedniejszemu, tak zwanym „dziadom”, którzy wędrowali z „prośbą” od wsi do wsi. Rytuał ten wydaje się być w prostej linii kontynuacją przedchrześcijańskich obrzędów, mających posilić dusze zmarłych przodków. Obok miejsca, w którym znajdował się głaz usytuowano nowy emblemat, kapliczkę pod wezwaniem świętej Anny. Wewnątrz kapliczki znajduje się rzeźba świętej Anny tak zwany „świętek”, która z okazji ważniejszych świąt odziewana jest w nową suknię. Jak relacjonował przedwcześnie zmarły Piotr Makowski, jeden z najwybitniejszych znawców regionu, uroczysko słynęło z licznych cudów, między innymi z leczenia bezpłodności u kobiet. Dziś w pierwszy dzień świąt wielkanocnych wokół kapliczki gromadzą się mieszkańcy i odprowadzają mszę. Od jak dawna uroczysko Joście traktowano jako miejsce święte, jaką rolę

pełnił głaz z zagłębieniami, to pytania nadal otwarte, nie cichnie dyskusja w środowisku archeologów czy etnologów. Miejscowe podanie mówi o czasach, w których po ziemi wędrował Chrystus. Zmęczony drogą miał zatrzymać się i przysiąc na wielkim głazie na Jościach, oparł stopy i łokcie o kamień i w ten sposób cudownie powstały tajemnicze zagłębienia. Prawda wydaje się jednak daleka od miejscowego podania. W kulturze Słowian ogromne głazy pełniły często rolę ołtarzy. Dominujące w przestrzeni krajobrazu były najprawdopodobniej traktowane jako symboliczny wzgórek, który przybliżał człowieka i otaczające go rzeczywistość do nieba, do strefy sacrum. Istnieją różne hipotezy dotyczące tajemniczych zagłębień. Mogły one służyć do palenia świętego ognia, jak również bardzo prawdopodobne wydaje się, że składano w nich pożywienie z myślą o darach dla panteonu bóstw lub w celu zasilenia dusz zmarłych przodków. W uroczysku Joście nie przypadkowa wydaje się bliskość rzeki Świder, która mogła odgrywać istotną rolę

w dawnych kultach. W wierzeniach dawnych Słowian woda, w tym również rzeki, traktowane były jako portal – przejście do krainy podziemi. Wody rzek, bagien, jezior były miejscami składania ofiar zmarłym. W opozycji mamy więc symboliczny wzgórek – strefę sacrum w postaci nieistniejącego dzisiaj głazu – ołtarz przeznaczony dla bogów błyskawic, niebios, i sacrum wyrażone w postaci rzeki, która dawała możliwość połączenia z krainą zmarłych...? Do chwili obecnej nie przeprowadzono w Głupiance badań archeologicznych, które mogłyby wyjaśnić pełne znaczenie tego tajemniczego miejsca w przeszłości. Badania archeologiczne mogłyby przynieść odpowiedź od jak dawna uroczysko objęte było praktykami magicznymi. Wydaje się być nie przypadkowe, bo w niewielkiej odległości od uroczyska stwierdzono w trakcie powierzchniowych badań archeologicznych funkcjonowanie w epoce brązu i żelaza ciałopalnych cmentarzysk. Prawdopodobnie miejsce to było czczone jeszcze na długo przed przybyciem Słowian. Głazy narzutowe, które pełniły rolę ołtarzy, miejsc magicznej mocy zachowały się nieopodal Cyganówki w gminie Wilga oraz w Sobolewie czy Łaskarzewie.

Pomiędzy miejscowościami Wilga a Cyganówką na stoku, opadającym w kierunku jednego z okresowych dopływów Wilgi, pierwotnie znajdowały się dwa głazy narzutowe pełniące najprawdopodobniej rolę ołtarzy, być może oba kamienie stanowiły element większego kompleksu kultowego, którego powstanie obecnie datuje się na epokę brązu. Wydaje się, że kompleks ten ma jeszcze starsze korzenie, bowiem w bliskiej odległości od tego miejsca znajdowane są również zabytki

z epoki mezolitu. Jeden z kamieni został rozbity i posłużył do budowy schodów kościoła w Wildze. W ten symboliczny sposób w początku XX wieku proboszcz miejscowej parafii zdesakralizował kamienny ołtarz, podobnie jak uczynił to proboszcz w Kołbieli. Drugi z głazów przetrwał szczęśliwie do dziś. Na jego powierzchni zauważyć można wgłębienia w kształcie „podkówki” oraz symboli „lunarnych”, które mogły służyć niegdyś składaniu ofiar płynnych. Bukowy las otaczający kamień potęguję aurę tajemniczości. Wydaje się, że w przypadku uroczyska w Cyganówce pierwotnie jeden z ołtarzy mógł być miejscem składania płodów roślinnych, drugi mógł służyć składaniu ofiar krwawych, oraz płynnych. Współcześnie badacze sugerują, że kamienne ołtarze były wykorzystywane przez miejscową grupę plemienną na czele z kapłanem, który odpowiedzialny był za prowadzenie rytuałów. Kolejna wersja zakłada, że były to miejsca czczone przez wspólnoty rodzinne, gdzie za prowadzenie rytuału odpowiedzialna była starszyzna.

Następne niedaleko położone miejsce magiczne na południowo-wschodnim Mazowszu to Łaskarzew. Na północno-zachodniej rubieży dzisiejszego miasta funkcjonował zespół kultowy. Z miejscem tym związane są liczne legendy. Kamień ten służył w okolicy z uzdrawiającej rosy, która zbierała się w jednym z zagłębień na powierzchni głazu. Według legendy rosą tą leczono ślepotę. Natomiast historia podaje, że w roku 1710 miejscowa ludność chroniła się przy świętych kamieniach przed morowym powietrzem. Na „kamieniu”, na którym miał spocząć i umrzeć ksiądz udzielający chorym ostatniego namaszczenia w trakcie panowania zarazy, wybudowano

później drewniany kościółek, przebudowany w roku 1847 na kościół murowany pod wezwaniem św. Onufrego. Święty kamień znalazł się bezpośrednio pod ołtarzem obecnego kościoła. Do roku 1945 nieopodal kościółka funkcjonowała pustelnia. Każdy kolejny pustelnik przyjmował imię Onufry, jednak zachowywał swoje nazwisko. Dziś kościół ten stanowi elementarną część starego cmentarza parafialnego.

Podobny kamień nazywany potocznie „Bożymi Stópkami” znajduje się w Sobolewie. Obok wybudowanego około roku 1708 kościoła leży duży głaz narzutowy, który w obwodzie ma ponad 7 metrów – pomnik przyrody, zwieńczony na przełomie XIX i XX wieku granitowym krzyżem. Na powierzchni głazu zachowała się intencjonalnie wykonana niecka. Zagłębienie służyło prawdopodobnie również składaniu ofiar. Według jednej z relacji mieszkańców z początku XX w. dowiadujemy się, że niecka w kamieniu w Sobolewie była miejscem, w której gromadziła się woda z wiosennego deszczu o właściwościach leczniczych i uzdrawiających. Miejscowa legenda opowiada o jednym z pobożnych księży, któremu na kamieniu objawiła się Matka Boska. Cud miał utrwalić się na powierzchni głazu poprzez odcisnięcie stóp Marii Panny. W ten sposób okoliczni mieszkańcy tłumaczyli sobie powstanie zagłębienia na powierzchni głazu. Jeszcze w okresie międzywojennym „Boże Stóпки” były licznie odwiedzane przez pielgrzymów i słynęły z uzdrowień. W Sobolewie podobnie jak w Głupiance, czy Łaskarzewie miejsce kultu przedchrześcijańskiego zostało zaadaptowane poprzez budowę w bezpośrednim sąsiedztwie najpierw kaplicy, a w końcu kościoła pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła. Sakralne budowle

sytuowano zazwyczaj na dominujących w krajobrazie wzniesieniach. W Sobolewie stary drewniany kościół usytuowany jest w nizinie tuż obok podmokłej łąki, ale w sąsiedztwie magicznego kamienia.

Szczególnie bogatym w znaleziska ery przedchrześcijańskiej i najlepiej przebadane na terenie południowego Mazowsza są okolice Maciejowic, gdzie odkryto cmentarzyska kultury łużyckiej w Kochowie, cmentarzyska kultury przeworskiej w Oblinie, Oronnem i Strychu.

W muzeum w Maciejowicach jest urządzona ekspozycja z cmentarzyska w Kochowie z rekonstrukcją grobów, ceramiki, narzędzi, ozdób.

Na terenie, na którym rozegrała się 10 października 1794 r. pamiętna bitwa kościuszkowska, znaleziono skarb monet rzymskich z I i II w. n. e, które były najprawdopodobniej złożone jako ofiara (noszą ślady palenia). Opodal tego miejsca znaleziono ofiarę bagiennej, siekierkę brązową, która jest znacznie starsza od skarbu monet.

W pobliżu Maciejowic znajdują się „Białe Góry”, miejsce to kojarzone jest z lokalizacją osad z okresu brązu i żelaza i w pobliżu prawdopodobnie było miejsce kultu.

Pogranicze Mazowsza i Podlasia to również miejsca świętych źródeł. Jedno z magicznych źródeł wybija w miejscowości Krępa, która słynie przede wszystkim z kopca usypanego w miejscu wzięcia do niewoli Tadeusza Kościuszkę po przegranej bitwie pod Maciejowicami. Źródło, które nadal zaopatruje w znakomitą wodę okolicznych mieszkańców, kiedyś zwano przy „Kamieniu Diabelskim”. Nieopodal miejsca, z którego wybija woda znajdował się głaz, na powierzchni którego niewielkie zagłębienia

miały być według lokalnej tradycji odbiciem czarcich pazurów. Kamień w XX wieku rozbito. Krępa to miejsce, w którym możemy nadal spotkać echa dawnych wierzeń. W Wielką Sobotę o świcie okoliczni mieszkańcy, dziś głównie starsze kobiety, obmywają twarz w źródlanej wodzie. Ma to zagwarantować młody wygląd i uchronić przed chorobami w kolejnym roku. Na pytanie, które zadałem, dlaczego akurat w Wielką Sobotę – usłyszałem prostą odpowiedź, że na pamiątkę złożenia w grobie Chrystusa i cudownego działania wszelakiego dobra, „co spod ziemi tego dna wybija”. Obyczaj ten jest z pewnością znacznie starszy aniżeli nauki o ukrzyżowaniu i złożeniu do grobu Chrystusa.

Święte źródła były przez naszych przodków traktowane jako portale pomiędzy rzeczywistym wymiarem a światem podziemia. Wraz z przybyciem chrześcijaństwa miejsca kultowe, miejsca magicznej mocy zostały „cywilizowane” przez postawienie w ich pobliżu symboli nowej wiary. Misjonarze starali się znaleźć wspólne elementy dla „starej” i „nowej” religii.

Ciekawe jest pytanie, kiedy na ziemi obecnej Polski dotarli pierwsi misjonarze Chrystusa? Przywykliśmy do tego, że to czasy Mieszka I i jego następców. Intrygujące wydają się być odkrycia dokonane w latach 80-tych w miejscowości Podebłocie, leżącej na południowych rubieżach obecnego województwa mazowieckiego. W przeszłości było to pogranicze Mazowsza i Małopolski. Grodzisko w Podebłociu jest malowniczo położone na szczycie tarasu opadającego w kierunku bagien pradoliny Wisły. Ze szczytu wniesienia nazywanego przez mieszkańców „Zamkową Górą” rozciąga

się niezwykle widok, z perspektywy którego ujrzyć można majaczącą na zachodnim brzegu Wisły Puszcę Kozienicką. Grodzisko w Podebłociu funkcjonowało od VIII do XI wieku, a odkryta nieopodal osada podgrodowa funkcjonowała już od VII wieku i to właśnie na jej terenie odkryto sensacyjne zabytki zwane potocznie „tabliczkami z Podebłocia”. Znalezione fragmenty polepy z odcisniętymi literami są najstarszym wczesnośredniowiecznym zabytkiem pisma odkrytym na ziemiach polskich. Mieszkalna ziemianka, w której odnaleziono fragmenty 3 tabliczek datowana jest, przez prof. Jerzego Gąsowskiego, na IX wiek. Część badaczy uważa, że odcisnięte litery to greckie I.X.C.H, które należy odczytać jako inicjały wokacji Iesus Christos Nika czyli Jezu Chryste Zwycięzaj. Wkrótce po upublicznieniu rewelacyjnego odkrycia pojawiły się wątpliwości, co do ich oryginalności, niektórzy badacze sugerowali, że nie jest to pismo, a przypadkowo odcisnięte znaki. Krytycy stawiali tezę, że to głupi żart studentów uczestniczących w pracach wykopaliskowych. Przeprowadzone w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki badania rozwiąły jednak wątpliwości i potwierdziły autentyczność tabliczek z Podebłocia, na których napisy zostały wykonane ręką ludzką. Możliwe, że Podebłocie to najstarsze dowody na działalność apostołów chrześcijaństwa o ponad 100 lat przed oficjalnym przyjęciem chrztu przez Piastów? Niektórzy archeolodzy uważają, że zabytki z Podebłocia są pozostałością działalności uczniów Metodego i dowodem na chrystianizację prowadzoną przez Państwo Wielkomorawskie na terenach południowej Polski czyli ówczesnego państwa Wiślan. Mimo usilnych prób do tej pory nie udało

się odnaleźć cmentarzyska mieszkańców grodziska w Podeblotcu. Poznanie rytuału pogrzebowego, a także zapoznanie się z elementami wyposażenia grobowego mogłyby rzucić dodatkowe światło na historię tego wyjątkowego miejsca. Być może odpowiedź o lokalizacji cmentarzyska ukryta jest w lokalnym nazewnictwie. Intrygująca wydaje się być nazwa „Trupia Góra”, która dotyczy położonej wśród bagien pradoliny Wisły piaszczystej wydmy, będącej prawdopodobnie niegdyś wiślaną wyspą. W dawnych wierzeniach bagna oddzielały świat żywych od świata umarłych.

Kontynuacja badań w Podeblotcu lub badania innych wczesnośredniowiecznych zespołów osadniczych być może przyniosą więcej informacji i potwierdzą lub zaprzeczą hipotezie chrystianizacji Małopolski przed rokiem 966. Pomimo że minęło ponad 1000 lat od momentu przyjęcia przez państwo Piastów chrztu, a chrześcijaństwo zmieniło krajobraz kulturowy Polski, to wiele miejsc nadal tchnie prastowiańską mocą i w naszym codziennym życiu zachowało się wiele elementów przedchrześcijańskiej obyczajowości.

Poznanie korzeni naszej kultury i rozszerzenie wiedzy o okres prehistoryczny, zrozumienie sensu i symboliki miejsc i obrzędów pozwoli nam zrozumieć nie tylko postępowanie naszych przodków, ale może nas uwrażliwić i odsłonić nieznaną część naszej osobowości. Zapraszamy na warsztaty archeologiczno-historyczne, w czasie których dochodzi do wtajemniczenia, poznania i odbycia dawnych rytuałów oraz medytacji w miejscach magicznej mocy.

AP/LMK





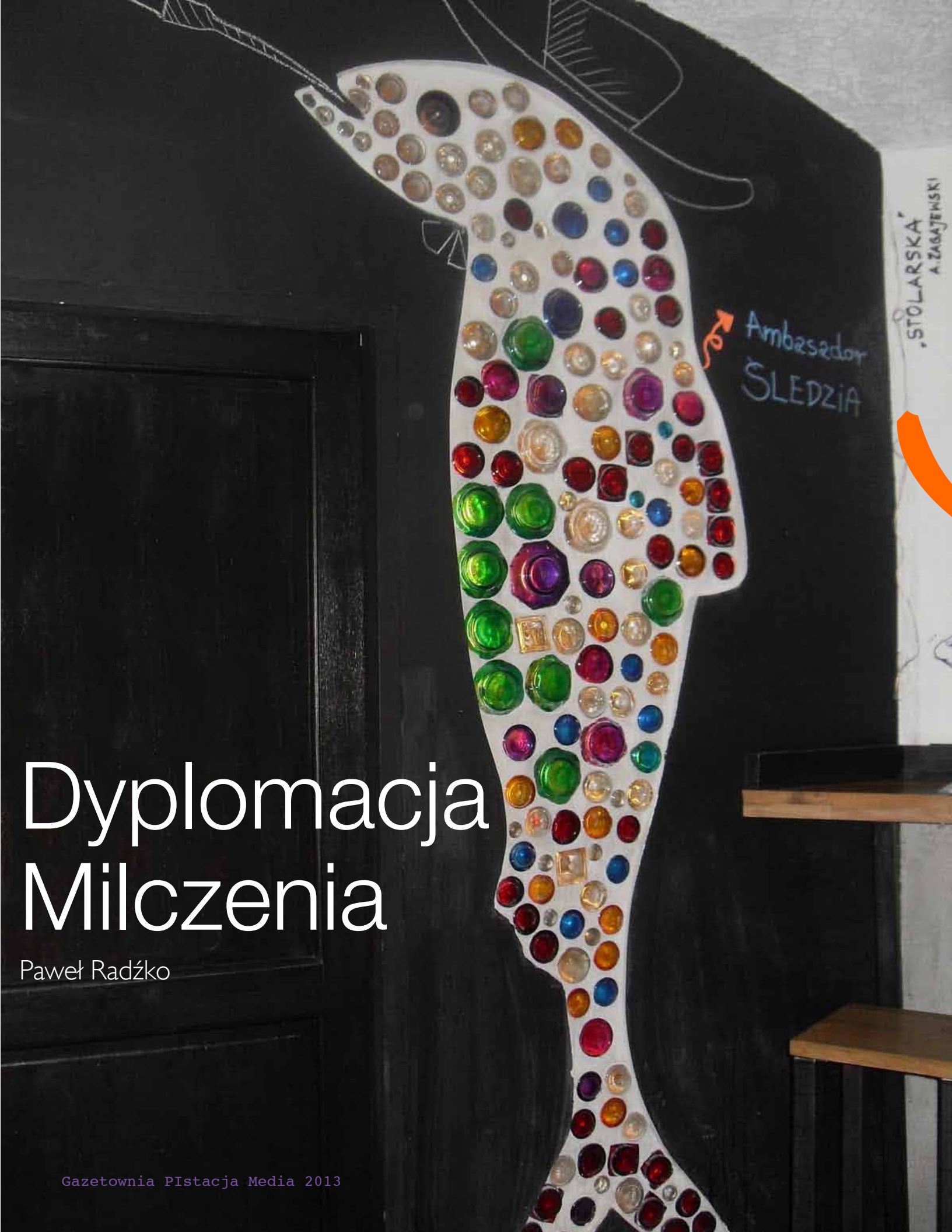
Sobolew, gmina Iława. Widok na kościół
św. Piotra i Pawła. Prawdopodobnie
miejsce sacrum
w okresie przedchrześcijańskim.



Krępa, gmina Sobolew. Święte
źródło przy nieistniejącym obecnie
„Diabelskim Kamieniu”

Dyplomacja Milczenia

Paweł Radźko



Jesień to magiczny czas. Chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać ilość deszczowych dni w kraju nad Wisłą. Mżawka, kapuśniaczek, ulewa, nawałnica. Brakuje tu nam tylko monsunów. A i tak, bez względu na to jaki to rodzaj opadu, zawsze mamy gwarantowaną chandrę, spowolnienie, gorszy nastrój i mniej chęci do działania (jeśli nie życia w ogóle). „Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie są treścią mojej duszy” – jak napisał Tetmajer. I tu, w tym momencie, wkradają się niczym złodziej – lub raczej cichy kurier – wspomnienia.

Patrząc za okno, w szarość, która się roztacza za szybą pośród jesiennej słoty widzę deszcz i stalowe chmury, ludzi ze spuszczoneymi głowami idących gdzieś w pośpiechu oraz ptactwo rozmaite, które zaczyna już ciągnąć do cieplejszych krain. I tak, w ciszy, przypomina mi się poprzednia pora roku. A za nią kolejna, ta która była rok wcześniej i jeszcze jedna sprzed dwóch lat. Ta pora to kolor zielony, soczysty od słońca. Obrazy, dźwięki, zapachy oraz wrażenia, uczucia – wszystko przebija się przez bezbarwny mur i nie zmieniając pogody zmienia mój nastrój. Milcząc w zamyśleniu przypominam sobie po kolei: koniec sesji egzaminacyjnej na studiach, zieloną łąkę, na której leżałem już jako wolny człowiek, wieczory z przyjaciółmi w Ambasadzie Śledzia, spotkania z osobami, z którymi nie widziałem się już wieki całe, dalekie podróże

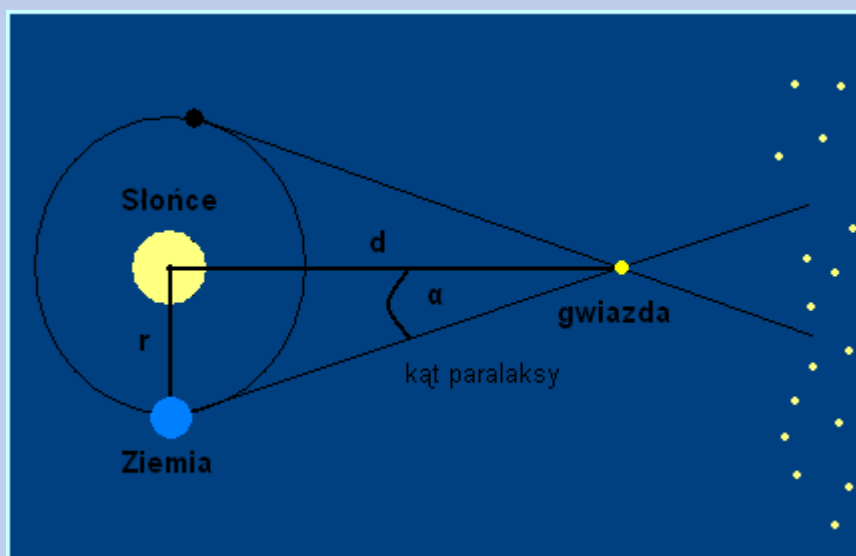
oraz chwile spędzone z Tą Jedyną. Wszystko to przyływa i przepływa coraz wyraźniejsze, coraz ostrzejsze, jak przy układaniu albumu ze zdjęciami po powrocie z wakacji. Na przykład podróże – po Polsce oczywiście. Same w sobie barwne: można jechać w przedziale z właścicielką kota, który akurat upatrzył sobie moje kolana jako wspaniałe pośłanie i z wesołym, mającym chyba spory już staż małżeństwem, które coraz zagaduje sympatycznie innych podróżnych. Takie wydarzenia, gdy je wspominać, nie tylko nie wydają się odległe, ale także stają się bliższe, sercu w szczególności. Dopisuje się szczegóły niezauważone wcześniej, bo przecież pamięć nie jest całkowicie odtwórcza, ale raczej konstruktywna. Każde wspomnienie oglądane przez pryzmat pamięci staje się czymś innym, czymś bardziej własnym, „mojszym” jak u Koterskiego racja. I nikt nigdy nie zabierze nam tych skarbów, bo trzymamy je w głowie i są dostępne tylko dla nas.

I tak jak milczący dyplomata na wspaniałym bankiecie, z godnością i powagą wita się z jakimś dystyngowanym dżentelmenem, tak przychodzi do mnie wspomnienie lata, które już nie wróci, bo każde kolejne będzie inne. Pewnie każdy ma swój sposób odszukiwania lub napotykania całkiem przypadkowo dni przeszłych – lepszych albo chociaż cieplejszych. Ot, dla polepszenia nastroju.

PR

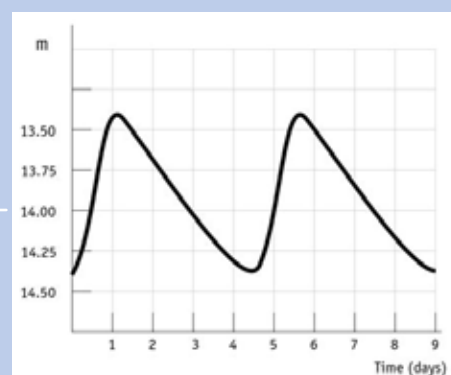
Jak daleko jest do gwiazd?

Michał Lewandowski



Rysunek 1 Schemat efektu paralaksy. Bliska gwiazda zmienia swoje położenie na tle odległych w zależności od położenia Ziemi na orbicie.

Rysunek 2 Schematyczny wykres „okres-jasność” dla Cefeid.



Ludzie od dawna zastanawiają się jak daleko jest do tych błyszczących punkcików na nocnym niebie. Raz myślą, że są bliżej, raz że dalej, ale jednego zawsze są pewni, że są bardzo daleko i nie da się zmierzyć odległości linijką lub innym dostępnym nam na co dzień urządzeniem. Więc jak?

Metod wyznaczania odległości do gwiazd i galaktyk jest kilka. Używane są w zależności od tego, co chcemy

zmierzyć i tego, jak daleko mniej więcej przewidujemy, że jest dany obiekt.

Dla gwiazd, które znajdują się blisko nas najlepszą i najdokładniejszą metodą jest metoda paralaksy. Efekt paralaksy bardzo łatwo można sobie zasymulować. Patrząc na palec u dłoni, raz zamykamy jedno oko, a raz drugie. Wygląda to tak, że palec zmienia swoje położenie względem tła, gdyż patrzymy pod różnymi kątami. Tak samo dzieje się z bliskimi gwiazdami, gdy obserwujemy je w różnych

porach roku. Dzieje się tak, ponieważ Ziemia krąży w około Słońca i zmienia się punkt obserwacji, raz jesteśmy po jednej stronie Słońca, a za pół roku po drugiej. Następnie na podstawie prostych przekształceń trygonometrycznych można wyznaczyć odległość do danej gwiazdy.

Jest to bardzo dokładna metoda do wyznaczania odległości, jednak sprawdza się tylko do bliskich gwiazd. Dla gwiazd odległych stosuje się inne metody.

Jedną z takich metod jest wyznaczanie odległości na podstawie Cefeid. Cefeidy jest to typ gwiazd zmiennych, których ambasadorem jest **Delta Cephei**, pierwsza zaobserwowana gwiazda tego typu. Gwiazdy te okresowo zmieniają swoją jasność, znaczy że raz są jaśniejsze, a raz ciemniejsze. Dodatkowo występuje w tych gwiazdach zależność „okres-jasność”, znaczy że im większa jasność absolutna danej gwiazdy, tym dłuższy ma okres. Jasność absolutna jest to jasność gwiazdy w odległości 10 parseków(pc) od niej, jeden parsek to mniej więcej 3,2616 lat świetlnych. Używa się takiej wielkości, żeby móc porównywać gwiazdy, ponieważ przestrzeń kosmiczna nie jest pusta, jest w niej dużo różnego rodzaju „śmieci”, które osłabiają jasność gwiazd im dalej się od nich jest.

Dzięki pomiarom okresów zmienności Cefeid możemy wyznaczyć ich jasność absolutną, co jest już praktycznie wyznaczeniem odległości. Teraz stosując jeden wzór można wyznaczyć odległość do mierzonej gwiazdy. W najprostszym przybliżeniu wzór ten wygląda tak:

$$m-M=5 \log(d)-5$$

gdzie: m – zmierzona jasność gwiazdy; M – jasność absolutna gwiazdy; d – szukana odległość do gwiazdy.

Żeby poznać jasności absolutne Cefeid, obserwuje się Cefeidy w bliskiej odległości od Ziemi, stosując pierwszą metodę, czyli **pomiar paralaks**.

Metody tej można używać zarówno do bliskich gwiazd, jak i dość dalekich, w sąsiednich galaktykach.

Inną metodą wyznaczenia odległości są wybuchy supernowych typu Ia, są to supernowe, które podczas wybuchu uwalniają najwięcej energii, dodatkowo jasność absolutna wszystkich tych supernowych jest praktycznie taka sama. Tak więc mierząc jasność podczas wybuchu i używając tego samego wzoru, jak w przypadku Cefeid, możemy wyznaczyć odległość do nich.

Metoda ta może być stosowana do najdalszych znanych nam obiektów. Wadą tej metody jest to, że nigdy nie wiemy, gdzie taka supernowa wybuchnie, więc jest to metoda dość losowa i nieprzewidywalna.

Są to najpopularniejsze i najprostsze metody wyznaczania odległości przy użyciu tylko jednego obiektu, oczywiście nie wszystkie. Istnieją też inne metody wyznaczania odległości do gwiazd z użyciem większej ilości obiektów naraz, ale bardziej skomplikowane i służące do wyznaczania odległości do całej galaktyki, a nie konkretnego obiektu.

From the series:

My Travels

Jerusalem

The Earth was Shaken

part II

Agnieszka Thomassen



The Holy Land

Admiring the fact of not doing anything, I was fascinated with first, long awaited, moments of warmth. The sky had become blue creating multicolored agate, whereas the sea, foaming just for a brief period of time, was showing off its shades of sapphire. The large sheet of water was enchanted with a touch of orange color created by snaffled beach sand. The Sun was so large and distinct, that one could see the Sunspots on it! B'ezrat HaShem! (With God's help!)- My prayers for the good weather were answered. Filled with new life's energy, not wasting anymore of my time, I jumped out of bed informing everybody about the trip to Jerusalem. Being completely not prepared, with just an I-Phone equipped with the map, we got in the car and set off on a journey.

A trip to Jerusalem was interesting just because we were going through Palestine, without even knowing about it. When we found out we were driving on the highway in this country (not considered a country by Israel), we were wondering

Z serii:

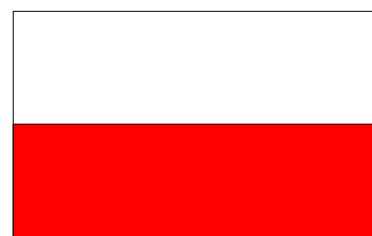
Moje podróże

Jerozolima

Zatrzęsła się ziemia

część II

Agnieszka Thomassen



Ziemia Święta

Podziwiając przyjemny fakt nic-nie-robienia, zachwycalam się pierwszymi pięknymi, długo oczekiwanymi, chwilami ocieplenia. Niebo zrobiło się niebieskie, tworząc wielobarwny agat, zaś morze, pieniać się jeszcze tylko przez chwilę, chwaliło się swoimi odcieniami szafiru. Uroku dla wielkiej tafli wody dodała domieszka oranżu, z dopiero co zagrabionego plażowego piasku. Słońce było tak wielkie i wyraźne, że widać na nim było Plamy Słoneczne! B'ezrat HaShem! (z Bożą pomocą!) – moje modlitwy dotyczące pogody, zostały wysłuchane. Pełna świeżej życiowej energii, nie marnując już więcej czasu, wyskoczyłam z łóżka, informując wszystkich o naszej podróży do Jerozolimy. Będąc zupełnie nie przygotowani do wyjazdu, z I-Phonem wyposażonym w mapę, wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w drogę.

Wycieczka do Jerozolimy była ciekawa chociażby dlatego, że przejeżdżaliśmy przez Palestynę nawet o tym nie wiedząc. Kiedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy na odcinku autostrady w tymże kraju (nie uznanym za państwo przez Izrael), zastanawialiśmy się





if we would need to present our passports that we didn't take with us. We were also anxious about other things, for example, if the road would be closed just because of the recent snowfall. In regular conditions, without the climate change, it would be easier to notice a comet in the night sky than to see the snowflakes in this Mediterranean country! We were worried about the Wailing Wall to be unavailable for tourists' visits during Sabbath. We knew that Bethlehem was closed for the foreigners but we didn't check how the situation looked like in other regions. Full of apprehension we drove on a wide highway...towards the Sun. We allowed pure chance to guide us gently like lambs that were led by a shepherd through the unknown surroundings.

The road happened to be open for the drivers, although the hills of the accumulated snow still reminded us of recent weather anomalies. Many residents stopped on the highway to admire this white madness that many people had not experienced before. Children were making a snowman right next to the fast lane. Obviously being in awe with short winter stifled parental instincts for a moment.

Travelling from Tel Aviv, we were observing changes from stretching out sandy lowland to green mountain area in Judean Mountains. Sometimes I felt as if we were still in Switzerland when, suddenly, thin trees grew in front of our eyes, growing densely between wide-stretching conifers. We knew that we were getting close to Jerusalem when, here and there, sandy, square houses, "pasted" to the sides of the mountains, placed one on top of the other, and creating interesting geometric constructions, emerged in front of us. Sometimes they were "hanging" barely attached to the sidewall of the very large hills like white butterfly cocoons. The road was winding like



czy będziemy musieli okazać się paszportami, których przy sobie nie mieliśmy. Obawialiśmy się wielu innych rzeczy, np. tego, że droga będzie zamknięta ze względu na ostatnie opady śniegu. W normalnych warunkach, bez zmian klimatycznych, łatwiej nam byłoby chyba dostrzec kometę na nocnym niebie aniżeli zobaczyć spadające płatki śniegu w tym śródziemnomorskim kraju! Obawialiśmy się też, że Ściana Płaczu będzie niedostępna dla turystów w dzień szabatu. Wiedzieliśmy, że Betlejem było wówczas zamknięte dla obcokrajowców, ale nie sprawdziliśmy jak ta sytuacja wyglądała w innych regionach. I tak pełni obaw podążaliśmy szeroką autostradą... w stronę słońca. Poddaliśmy się łagodnie jak owieczki czystemu przypadkowi, który prowadził nas jak pastuszek przez nieznane nam okolice.

Droga okazała się być otwarta dla przejezdnych, chociaż górki zgromadzonego śniegu wciąż przypominały nam o niedawnych anomaliach pogodowych. Wiele mieszkańców przystawało na autostradzie, żeby podziwiać białe szaleństwo, którego wielu ludzi tutaj nigdy nie doświadczyło. Dzieci lepiły bałwany obok pędzących na drodze szybkiego ruchu samochodów. Widać zachwyt krótką zimą przygłuszył na chwilę naturalne instynkty rodzicielskie.

Jadąc z Tel Awiwu, obserwowaliśmy zmiany w rozciągającym się terenie, z nizinnego i bardziej piaskowego do zielonego, górskiego, przejeżdżając przez Wyżynę Judejską. Czasami czułam się jakbyśmy byli w Szwajcarii, gdy nagle wyrosły przed nami wysokie, chude drzewa, rosnące gęsto pomiędzy rozłożystymi iglakami. Wiedzieliśmy, że dojeżdżamy do Jerozolimy, kiedy to tu to ówdzie, pojawiały się osiedla z piaskowych, kwadratowych domków „przyklepionych” do stromych wzgórz, ustawionych jeden na drugim, tworząc ciekawe konstrukcje geometryczne. Czasami „zwisły” one przyczepione do bocznej ściany góry, jak białe kokony motyli. Droga wiła się jak wstęga,



a ribbon, leading us to Jerusalem, 700 meters above the sea level. Temperature was low and it was cold, but our curiosity was warming our bodies up, giving us strength and will to go on a tour. Our goal was to reach the walls of the Holy Land.

Jerusalem, having many names: The Foundation, the Fortress of Zion, the City of Peace, the Holy Land, the Land of Israel, and the City of David, was different from modern Tel Aviv like black and white color, and differed from the rest of the world, like Heaven and Earth. While entering this mesmerizing city, we saw the neighborhoods that were stretching up and down the hills. Therefore, after parking the car, we were mountain climbing, and just because we had to walk a lot, we quickly realized that we weren't in shape for this type of adventures.

Generally, the city keeps one architectural style, the buildings are restored, and the pastel and pale yellow colors fabulously contrast with the blue sky. New houses are very modern and look like temples from which atriums with pillars supporting vaulted ceilings, lead off to other rooms. Full of oranges green little trees adorned the terraces- a view insofar interesting since the ground was still covered with snow. Unfortunately, the neatness of certain areas was disrupted with frightening view of other regions with dug up streets surrounded with crumbling fences. There is no concern for an average passerby who takes his or her life in their own hands while avoiding cluttered sidewalk. The older houses, although built in the same style, were something of an unkempt woman that varnishes her dirty nails, dyes her hair showing the old roots, and wears flounce socks with high hills. The buildings represent the same inattention towards details, and forgetfulness in achieving one coherent goal. So, there are numerous, small, big, and large windows in one house, with grates or external steel blinds.



prowadząc nas do Jerozolimy 700 metrów ponad poziomem morza. Temperatura była niska i było nam zimno, ale nasza ciekawość rozgrzewając nasze zmarznęte ciała, dodawała nam sił i chęci na dalsze zwiedzanie. Naszym celem było dotarcie do murów Ziemi Świętej.

Jerozolima, nazywana również: Fundamentem, Twierdzą Syjonu, Miastem Pokoju, Ziemią Izraela, Sanktuarium Świętym, Miastem Dawida, była inna od nowoczesnego Tel Awiwu, jak kolor biały i czarny, a od reszty świata odróżniała się jak niebo i ziemia. Wjeżdżając do tego niezwykłego miasta podziwialiśmy osiedla, które rozciągały się raz z górki, raz pod górkę. Tak więc, po zaparkowaniu samochodu, nasze wędrówki przypominały wspinaczkę górską, a że chodzenia było dużo, szybko zrozumieliśmy jak bardzo brakuje nam formy do tego typu eskapad.

Ogólnie miasto utrzymuje jeden styl architektoniczny, budynki są wyremontowane, a blado-żółte kolory bajecznie kontrastują z niebieskim niebem. Nowe budynki są bardzo nowoczesne i wyglądają jak świątynie, w których atrium z filarami podtrzymującymi łukowate sufity, prowadzi do innych pomieszczeń. Zielone drzewka, na których rosną pomarańcze ozdabiały tarasy – widok o tyle ciekawy, o ile ziemia była wciąż przykryta śniegiem. Niestety schludność niektórych okolic była zakłócona straszącym nas bałaganem rozkopanych ulic w innych miejscach, które były otoczone wałącymi się płotami. Brakuje wtedy troski o przeciętnego przechodnia, który bierze życie we własne ręce omijając zagracony chodnik. Starsze domy, choć wybudowane w tym samym stylu, miały w sobie coś z zaniedbanej kobiety, która maluje brudne paznokcie, farbując niestarannie swoje włosy, ukazując stare odrosty i nosi skarpetki z falbanką, które zakłada do szpilek. Budynki te również charakteryzuje ta sama niedbałość o detal i jakieś zagapienie się w osiągnięciu jednolitego celu.



There are many balconies often covered up with white curtains or green plastic sheets. Balconies, full of satellite dishes, sometimes interface with other balconies in the added part of the building. It looked like the residents were inventing systematically additional components in the entire chaos and a house was something of: "work in progress" - a clay sculpture, to which anybody could stick something, to their own liking. However, the end result reminds of a Picasso painting, in which a figure has a nose on the forehead, and an eye on the lips...

When we arrived to the Old City, Eric bravely piloted us, holding the I-Phone in his hands, pretending that he knew where he was going. Crowds of people from around the world were trying to break through the narrow street, which were filled to the brim with a lot of junk sold for tourists, spread on the ground, claiming the narrow passage. Only some of the Arab boutiques sold full of colors sparkling things that looked like from the Tales of One Thousand and One Nights. Hubbub of holding a conversation, bustling people, was heard everywhere. It was difficult to find a quiet place in this turmoil. Here and there parents were calling their children to stay together; tourists were exchanging the information about their trip in various languages, somebody was laughing at the joke that nobody else could understand. Elsewhere, a lost tourist was asking for directions to the Wailing Wall, and some boys were smoking cigarettes in the corners of the narrow street. Children, dressed in white shirts, black vests, wearing bright, round caps, were playing a game that looked like counting rhyme with use of a pebble. The sellers were pushing the tourists to buy things, not allowing them to leave the store. We made a mistake entering one of them. „This! The best! This! The best! Not expensive! Good price! Good price!” - The seller chattered like a parrot while holding my husband by his arm, pulling him



Tak więc, w jednym domku znajdują się liczne okna, małe, duże i wielkie, a każde ma wstawione inne kraty lub metalowe, zewnętrzne żaluzje. Pełno jest tam balkonów, często zasłoniętych białą firaną lub zielonym plastikiem. Balkony, pełne talerzy satelitarnych, są czasami połączone schodami z innymi balkonami w dobudowanej części budynku. Wyglądało to trochę tak jakby mieszkańcy na bieżąco wymyślali dodatkowe elementy w tym całym chaosie, a dom był czymś w stylu: „work in progress” („praca w toku”), rzeźbą z gliny, do której każdy może coś dokleić według własnego uznania. Z tym, że efekt końcowy przypomina trochę obraz namalowany przez Picassa, w którym postać ma nos na czole, a oko na ustach...

Kiedy dotarliśmy do Starego Miasta Eric dzielnie nam pilotował, trzymając I-Phona z mapą w dłoni, udając, że wie gdzie idzie. Tłumy ludzi z różnych stron świata starały się przedrzeć przez wąskie uliczki, które były wypełnione po brzegi różnymi rupieciami dla turystów, porozkładanymi na ziemi, jeszcze ujmując wąskiemu przejściu. Tylko niektóre butiki arabskie sprzedawały różne kolorowe błyskotki, które wyglądały jak z „Baśni tysiąca i jednej nocy”. Wszędzie było słychać gwar prowadzonych rozmów krzątających się ludzi. Trudno było znaleźć zaciszne miejsce w tym zgiełku. Tu i ówdzie rodzice nawoływali swoje dzieci do trzymania się razem, turyści wymieniali informacje dotyczące podróży w różnych językach świata, ktoś zaśmiał się z kawału, którego nikt inny nie rozumiał. Gdzie indziej, zagubiony turysta pytał się o drogę do Ściany Płaczu, jacyś chłopcy palili papierosy w zakątku wąskiej ulicy. Dzieci, ubrane w białe koszule, czarne kamizelki i jasne, okrągłe czapeczki, bawiły się w coś co przypominało wyliczankę z użyciem kamyka. Sprzedawcy wciskali turystom różne przedmioty, nie wypuszczając ich ze sklepów. Popelniliśmy błąd wchodząc do jednego z nich. „This! The best!, This! The best!, Not expensive! Good price! Good price!” – trajkotał jak papuga sprzedawca, podtrzymując męża za ramię, zaciągając go z powrotem do półek sklepowych.





back to the store shelves. We barely managed to slip out of the store, using the moment of inattention of a dealer, disappearing into the crowd. Warm, dense, and exotic aroma of cooked food, with strong but dull smell of spices, wafted everywhere. The essence was mixed with caustic stuffiness of burned myrrh in the stone or steel bowls, and mustiness hidden in the old walls of the old city. The sellers offered some food that looked like pizza with green weed. My instincts of self-preservation didn't allow me to try this dish. At times like this, I appreciate my brain, which is equipped by an evolutionary process with self-protecting mechanisms, more specifically speaking - our senses. The sense of disgust is the most developed, so we do not reach for foods that threaten our lives, protecting us from severe food poisoning. No matter what, I was hungry and I wanted to try an original dish. Regional, cluttered restaurant that smelled of disinfectants carried through the air from the restroom, offered a variety of snacks. There were crookedly suspended, faded, worn pictures, posters, and portraits hanging on the walls, exhibiting everything from Coca Cola to people sitting in traditional clothing. The raven-haired owner was running back and forth conversing passionately in Arabic, speaking loud and fast, taking orders or pointing at the TV. The man was gesticulating vigorously while saying something about a politician. Tables put tightly in the room were covered with brown, plastic tablecloth. I was concerned about the quality of food but the meal was fresh. Out of everything they served, I liked salads and wheat, round pies: "pita bread" the most, as well as cold snack called: "hummus," made of chickpeas, garlic, sesame paste, oil, and cumin. I also savored black tea with fresh mint leaves, known and served in the entire country of Israel.



Z trudem udało się nam wyślizgnąć ze sklepiku pod niewagę handlarza, znikając w tłumie.

Gdzieniedzie rozchodził się ciepły, gęsty i egzotyczny zapach gotowanego jedzenia, czasami o mdłej, ale silnej woni przypraw. Aromat ten mieszał się ze żrącą duchotą palącej się mirry w kamiennych lub stalowych misach oraz stęchlizny ukrytej w zimnych murach starego miasta. Sprzedawcy oferowali jedzenie, które wyglądało jak pizza z zielonym zielskiem. Moje instynkty samozachowawcze nie pozwoliły mi na spróbowanie tego dania. W takich chwilach doceniam swój mózg, który jest ewolucyjnie wyposażony w mechanizmy obronne, a konkretniej, nasze zmysły. Zmysł obrzydzenia jest najlepiej rozwinięty, dzięki czemu nie sięgamy po potrawy zagrażające naszemu życiu, chroniąc nas przed ciężkim zatruciem pokarmowym. Pomimo wszystko byłam głodna i chciałam spróbować jakieś oryginalne danie. Zagracona regionalna restauracja, w której unosił się zapach płynu dezynfekującego z toalety, oferowała różne szybkie przekąski. Wszędzie na ścianach widniały krzywo zawieszone, pozdierane, wyblakłe stare plakaty, portrety i zdjęcia ukazujące wszystko, od Coca Coli do ludzi siedzących w tradycyjnych strojach. Kruczowłosy właściciel biegał w tę i z powrotem, nawiązując namiętne rozmowy w języku arabskim, mówił głośno i szybko, zlecał zamówienia lub wskazywał na telewizor. Zamaszyście gestykulujący mężczyzna opowiadał coś na temat jakiegoś polityka. Ściśnięte stoliki w pomieszczeniu były nakryte brązową ceratą. Obawiałam się o jakość serwowanego jedzenia, ale posiłek był świeży. Najbardziej smakowały mi surówki i pszenne, okrągłe placki „pita” oraz podawana do tego zimna przekąska „hummus” przyrządzona z ciecioriki, czosnku, pasty sezamowej, oliwy i kminku. Delektowałam się też serwowaną w całym Izraelu czarną herbatą ze świeżymi liśćmi mięty.



Walking towards the Wailing Wall, after hours long hike, we were lost many times in the narrow avenues in which hundreds of cats were running around. Most of the cats were sick, had fungus all over their fur, and they looked haggard. "Trying to get rid of mice, people brought cats to their place. Getting rid of one plague, they created a new headache," I thought. While eradicating mice, cats became an invasion with which the local residents, obviously, cannot deal with. I was very tired and cold, "didn't feel my legs," I was walking with my head down, climbing countless of wide stairs. Suddenly, a deep sound of music spread all over the Holy Land. I felt vibrations from the bottom of my feet radiating up to my head. Bottomless and resounding sound: „aaaaauuuuummm,” transmitted in the entire area with power so profound that was able to shake the stonewalls, and tremble the cobblestone road. The Earth was shaken. I felt like being in the Biblical times during the Battle of Jericho in which the Israeli warriors marched around the city for seven days, playing the ram's horns. I was hoping that strong acoustic waves would not destroy the archaic buildings. Monotonous music was accompanied by bell ringing and throaty enunciation of some words from ancient texts. Standing on the staircase, leading to yet another blind street in the maze, I had noticed enormous, pure-gold dome shining in the Sun. Now I know that it was a Muslim shrine called the Dome of the Rock. I felt unworldly in my wandering while paying attention to the sound enhanced by echo, coming out of every corner, both from the abyss and from beyond. I stopped and closed my eyes. I fell into a moment of acoustic depths. In my imagination I saw God who furiously hit the Judean Mountain with a lightning bolt, breaking it in half, and calling people to awakening and abandoning the sin. I felt like I was drifting along spiritual waves as if I was a lonely wanderer, captain of a tiny ship in the middle of the ocean, a monk-



Udając się w kierunku Ściany Płaczu, po wielogodzinnej wędrówce, gubiliśmy się w wąskich alejkach, w których biegały setki kotów. Koty były w większości chore, miały grzybicę i wyglądały mizernie. „Starając się pozbyć szczurów, ludzie przywieźli na te tereny koty. Pozbywając się jednej plagi, stworzyli nowe utrapienie” – pomyślałam. Zwalczając myszy, koty stały się same w sobie inwazją, z którą lokalni mieszkańcy sobie najwidoczniej nie radzą. Byłam bardzo zmęczona i było mi zimno, „nie czułam nóg”, szłam z opuszczoną głową, wspinając się po licznych, szerokich schodach. Nagle bardzo głęboki dźwięk muzyki rozniósł się po całej Ziemi Świętej. Pod moimi stopami poczułam drgania, które przeszły mnie z dołu do góry i od góry do dołu. Głęboki i donośny dźwięk: „aaaaauuuuummm” rozległ się w całej okolicy z taką siłą, że zadrżały kamienne mury, zadrgała kamienna ulica. Zatrzęsła się cała ziemia. Poczułam się jak w czasach biblijnych podczas bitwy pod Jerychem, w której wojownicy izraelscy okrążali miasto przez siedem dni grając na baranich trąbach. Miałam nadzieję, że silne fale akustyczne nie zniszczą archaicznych budowli. Monotonnej muzyce towarzyszyło bicie dzwonów oraz gardłowe wymawianie jakichś słów ze starożytnych tekstów. Stając na schodach prowadzących do kolejnej ślepej uliczki w labiryncie, odwróciłam się i zobaczyłam olbrzymią, błyszczącą w słońcu szczer-złotą kopułę. Dzisiaj już wiem, że było to muzułmańskie sanktuarium – Kopuła na Skale. Poczułam się nieziemsko w moim zagubieniu, wsłuchując się w brzmienie spotęgowane echem, wychodzące z każdego zakamarka, zarówno z czełości jak i z przestworzy. Przystanęłam i zamknęłam oczy. Zapadłam się w ten moment jak w akustyczną otchłań. W mojej wyobraźni widziałam Boga, który z furią uderzył piorunem w Wyżynę Judejską, przełamując górę na dwa nierówne kawałki, nawołując ludzi do przebudzenia i porzucenia grzechu. Poczułam, że dryfuję na innych falach duchowych, jakbym była samotnym wędrowcem, kapitanem na maleńkim



loner, looking for an inspiration somewhere in the high hills. I became part of the far away temple which contacted me via an invisible umbilical cord that grew out of my spiritual body- my true self that I had not been aware of until then. It was there and then that I understood the truest breath of God, consciously comprehended a definition of Soul. All of the previous matters, sorrows, joy, and amenities of life, beauty of nature, peace, and love- the truest love of mother to her child; as well as vindictiveness, jealousy, terrorism, and wars, intermingled in one mass, gaining transcendental meaning. I was drifting away in an open, distant space, looking down at tiny people overwhelmed with their huge problems. In that very moment, the most important was our Creator, Demiurge, Source, Omnipotent Being, Power, Universe, God.

Enchanted with the music, filled with energy, I felt like my body was healthy, and my mind was light. I was full of harmony. Never before I had felt anything like that, experienced any place the same way. Following the cobblestone sideway, by accident, we found ourselves in a carved tunnel, a cave, which led us towards the Wailing Wall.

Just out of respect towards praying people, we couldn't take any pictures during the Sabbath. From far away I watched absent-minded worshippers. The Western Wall had visible, dark spots created by the cannonballs, being the reminiscent of countless battles for this land. During its long history, Jerusalem was destroyed 2 times; besieged 23 times, attacked 52 times, and 44 times it was conquered! I do not know any other place in the world being fought for with such passion and ferocity! The three monotheistic religions: Judaism, Christianity, and Islam consider this place as their own, which is often the result of a dispute as to whom this land really belongs to. In modern times



statku pośrodku oceanu, mnichem-samotnikiem, szukającym natchnienia gdzieś w wysokich górach. Stałam się częścią oddalonej świątyni, która nawiązała ze mną kontakt poprzez niewidoczną pępowinę, a która mi nagle wyrosła z mojego duchowego ciała, z mojego prawdziwego „Ja,” o którym do tej pory nie miałam pojęcia. To właśnie wtedy po raz pierwszy poczułam najprawdziwsze tchnienie Boże, świadomie zrozumiałam pojęcie Duszy. Wszystkie dotychczasowe sprawy, kłopoty, radości i uroki życia, piękno przyrody, pokój, miłość – ta najprawdziwsza matki do dziecka; ale i mściwość, zazdrość, terroryzm i wojny zlały się w jedną masę nabierając transcendentalnego znaczenia. Dryfowałam gdzieś w otwartej, dalekiej przestrzeni, spoglądając na maleńkich ludzi przygniecionych swoimi wielkimi problemami. W tamtym momencie, najważniejszy był nasz Stwórca, Demiurg, Źródło, Omnipotencja, Potęga, Wszechświat, Bóg.

Zauroczone muzyką, naładowana energią, poczułam, że moje ciało jest zdrowe a mój umysł jasny. Byłam pełna harmonii. Nigdy dotąd nie przeżywałam żadnego miejsca w taki sposób, nie doświadczyłam czegoś podobnego. Podążając kamiennymi uliczkami w duchowym uniesieniu, zupełnie przypadkowo znaleźliśmy się w wyżłobionym w górze tunelu, jaskini, która poprowadziła nas do Ściany Płaczu.

Ze względu na szacunek do modlących, nie mogliśmy robić zdjęć w dzień szabatu. Z daleka obserwowałam odwróconych w stronę ściany zamyślonych wiernych. Mur miał widoczne, ciemne plamy od pocisków armatnich będących pozostałością licznych walk o tę ziemię. Podczas swojej długiej historii Jerozolima została zniszczona 2 razy, 23 razy była oblegana, 52 razy zaatakowana i 44 razy przejęta! Nie znam innego miejsca na świecie, o które walczone by aż z taką namiętnością i zawziętością!



Jerusalem is the capital of Israel (not recognized by some countries as such). The city is known from many biblical descriptions. It is in the city where the Temple in Jerusalem was built by the king Solomon, in which the Arc of the Covenant was kept. The only remnant of the ancient temple is nowadays the Wailing Wall, also called the Western Wall. The pilgrims offer their prayers at the side of the wall. Men and women pray separately, in addition, only men have the right to read Torah out loud, and cover themselves with a prayer shawl.

The guards in the square were firmly separating crowds of tourists from the people gathered in front of the wall. I regretted that I couldn't join the praying people.

The Road Home

Returning home from the Holy Land, I felt relief, I felt calmness; I felt change for a better tomorrow. I regained, how forgotten by me, "Vis Vitalis." I couldn't shake off the experiences that I brought with me from this wonderful place. I was thinking about the Bible, King David, Golgotha, the Mount of Olives, and Muhammad - who took a "Night Journey" to Jerusalem. My colorful sensations were temporarily moved aside when, in an airplane window, I saw beautiful Swiss mountains. Thin stripe of a silver river was flowing down, shining in the Sun, cutting in half the mountain range. Pale blue hills reminded me of the country I was in at the moment. It was interesting to feel the transition from the warm climate into the cold, something that made me go through a small thermal shock. Winter, after all, has its charm, especially in places untouched by the footsteps of walking people or driving cars. White, gentle snow, covering the fields and forests, represented the elusiveness of happy moments that only cover



Trzy religie monoteistyczne: judaizm, chrześcijaństwo i islam uznają to miejsce za swoje własne, przez co często wynikały spory o to do kogo tak naprawdę należy ten kawałek ziemi. W dzisiejszych czasach Jerozolima jest stolicą Izraela (z czym nie zgadzają się niektóre państwa). Miasto znane jest z licznych opisów biblijnych. To tam znajdowała się Świątynia Jerozolimska wybudowana przez króla Salomona, w której trzymano Arkę Przymierza. Jedyną pozostałością po starożytnej świątyni jest dzisiaj Ściana Płaczu, zwana Murem Zachodnim. Przy tej ścianie pielgrzymi ofiarowują swoje modlitwy z prośbami do Boga. Mężczyźni i kobiety modlą się osobno, przy czym tylko mężczyźni mają prawo głośno czytać Torę oraz okrywać się rytualnym szalem modlitewnym.

Strażnicy na placu stanowczo oddzielali tłumy zwiedzających od osób skupionych przed samym murem. Żałowałam, że nie mogłam dołączyć do modlącego się ludu.

Droga do domu

Powracając z Ziemi Świętej do domu czułam ulgę, czułam spokój, czułam zmiany na lepsze. Odzyskałam jakże zapomniane przeze mnie „vis vitalis”. Nie mogłam otrząsnąć się z wrażeń, które zabrałam ze sobą z tego cudownego miejsca. Rozmyślałam o Biblii, o królu Dawidzie, Golgocie, Górze Oliwnej, o Mahomecie, który odbył „nocną podróż” do Jerozolimy. Moje kolorowe doznania zostały chwilowo odsunięte na bok kiedy w samolotowym okienku zauważyłam piękne góry szwajcarskie. Cieniutki pasek srebrnej rzeki płynął sobie błyszcząc w słońcu, przecinając na pół pasma górskie. Błado-niebieskie wzgórza przypominały mi, w którym jestem już kraju. Ciekawe było przejście z ciepłego klimatu na zimowy, które stanowiło dla mnie mały szok termiczny. Zima, pomimo wszystko, ma swój urok szczególnie w miejscach niezmaconych



the top of life's many layers. Just a stronger gust of wind and snowstorms are formed, through which it is hard to break through. Standing in the middle of this madness, we are blind, incapacitated by a higher power. Waiting for the wind to change, we can stand in one spot or put one step forward, in unknown direction. A poem "The Road not Taken," written by Robert Frost, came to my mind. In his composition the poet describes a dilemma of our decision-making. "Everything in life is a choice," I sighed. So often we stand at the crossroad, trying to choose the right and the best direction for us. But still, it doesn't matter where we are headed, which path we take. Ironically, there are various surprises, both good and bad, on two roads, and they are very similar. In Israel, I realized that even the most difficult moments in our life encountered while wandering on our path, and which resemble persistent storms-pass by. Waves disappear in the blink of an eye, and water suddenly goes silent, becoming flat as a piece of paper. In Jerusalem, I came to conclusion that each and every one of us is a pilgrim on this Earth, the one who climbs a high mountain, just to lose the balance in a split second, and slide down like an avalanche. Looking for happiness in the outside world, strayed wanderer finally gets to his own Holy Land. Faced with many walls, walking on dead-end streets, constantly falling and rising, a man discovers holiness in depths of his own existence. How convincing were the words of the precursor of existentialism, R.M. Rilke, who said that the most important is: "the journey within."

Agnieszka Thomassen



śladami przechodzących ludzi czy jadących samochodów. Biały, delikatny śnieg, okrywający pola, góry i lasy symbolizował dla mnie ulotność szczęśliwych chwil, które tylko pokrywają górne warstwy wielu poziomów życia. Wystarczy silniejszy powiew wiatru, a powstaje burza śnieżna, przez którą jest się nam trudno przedrzeć. Stając w środku tego szaleństwa, jesteśmy ślepi, ubezwłasnowolnieni przez siły wyższe. Oczekując na zmianę kierunku tej wichury, możemy stać w miejscu i czekać aż zamrozimy lub postawić krok w nieznanym kierunku. Na myśl przyszedł mi wiersz Roberta Frosta: „The Road Not Taken” („Droga nie obrana”). Poeta opisuje w nim dylemat dokonywanych decyzji. „Wszystko w życiu jest wyborem” – westchnęłam. Jakże często stoimy na rozdrożu, starając się wybrać właściwy i najlepszy dla nas kierunek. Ale i tak nie ważne gdzie podążamy, którą ścieżkę obierzemy. Ironicznie, na obu drogach życia są różne niespodzianki i te miłe, i te złe, a drogi są bardzo podobne do siebie. W Izraelu uświadomiłam sobie, że nawet najbardziej trudne chwile napotymane na naszym życiowym szlaku, które przypominają uporczywe sztormy, w końcu przemijają. Fale nikną w mgnieniu oka, a woda nagle cichnie, stając się płaska jak papier. W Jerozolimie doszłam do wniosku, że każdy z nas jest pielgrzymem na tej ziemi, który się z trudem wspina na wysoką górę, żeby za chwilę stracić równowagę i się z niej stoczyć jak lawina. Poszukując szczęścia w świecie zewnętrznym zabłąkany wędrowiec ostatecznie dochodzi do swojej własnej Świętej Ziemi. Napotykając na wiele murów, chodząc ślepymi uliczkami, bezustannie upadając i powstając, człowiek odkrywa świętość w głębi swojego istnienia. Bo jak przekonywał nas austriacki prekursor egzystencjalizmu R.M. Rilke najważniejsza jest: „podróż wewnątrz samego siebie”

Agnieszka Thomassen



